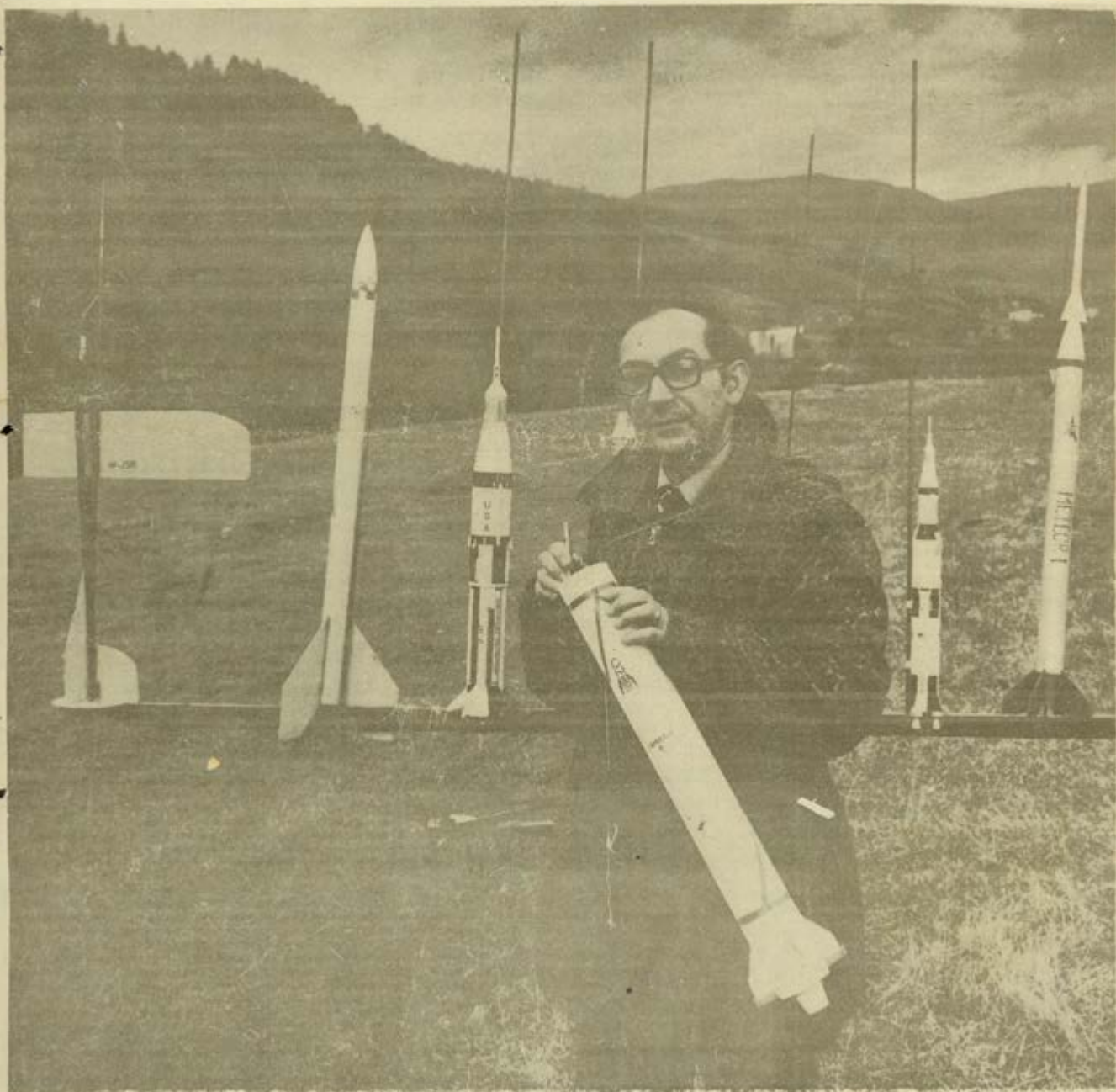


# DUNIAJEC

NOWOSĄDECKI MAGAZYN ILUSTROWANY

CZERWIEC 1980

Cena 4 zł



JULIUSZ JAROŃCZYK — mistrz świata w modelarstwie raketowym. Współ z młodymi konstruktorami zrzeszonymi w klubie „Zefirek“ rozsławia dobre imię Muszyny. Obok medali z międzynarodowych zawodów sportowych posiada tytuł POLAKA ROKU zdobyty w plebiscycie, organizowanym przez Radę Główną Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej.

Fot. JERZY ŻAK

## Pierwszy w Europie

W maju 1932 r. ustanowiony został Park Narodowy w Pieninach, przemianowany po wojnie na Pieniński Park Narodowy. W dwa miesiące później, w lipcu 1932 r., po słowackiej stronie powołano Słowacki Pieniński Park Narodowy. W Czerwonym Klasztorze pomiędzy stroną polską a czechosłowacką podpisano umowę ustalającą program wspólnego działania w zakresie ochrony i turystyki w Pienińskim Parku Narodowym, będącym w krajobrazie polskim i słowackim wyjątkowo pięknym i interesującym zjawiskiem przyrodniczym. Na niewielkim obszarze znajdują się wiele osobliwości krajobrazowe, przyrodnicze i kulturalne, przepiękna sceneria górska.

BRONISŁAW DUDA  
(„Życie Warszawskie”)

## Bez głowy

XI Przegląd Filmów o Sztuce w Zakopanem przejdzie do dziejów tej imprezy jako przykład wyjątkowy. Bez koncepcji, bez wybierających się filmów, bez dyskusji, którą dość sprawnie zlikwidowano w zarodku na wszelkiego rodzaju seminariach i spotkaniach — pożałujcie Boże — naukowych, przegląd był tym, czym mogą być podobne przedsięwzięcia w takich okolicznościach, czyli spotkaniem towarzyskim. Twórcy poklepywali się po plecach, wyrażając sobie nieszczerze uznanie, a cierpiał oczywiście widz.

RYSZARD KANTOR  
(„Życie Literackie”)

## Niewypał

Niestety, po obejrzeniu tegorocznych, ósmych zakopiańskich Konfrontacji Kabaretowych, mój entuzjazm dla amatorskich kabaretów nie wzrósł. Nie dosyć, nawet zawod, odczuwali zresztą tym razem wszyscy stali bywalcy i entuzjaści imprezy. Dla wytłumaczenia tych frustracji można by się zapewne postawić uniwersalnym czynnikiem trudnych warunków atmosferycznych: w chwili rozpoczęcia konfrontacji nastąpiło w Zakopanem raptowne złażenie pogody, temperatura spadła nagle o kilkanaście stopni, zerwał się lodowaty wiatr i zaczął siąpić deszcz, przechodzący w śnieg. Warunki biometeo ukształtowały się niekorzystnie, ludzie byli podenerwowani, drażliwi i ogólnie niechętni. Zakopane też zaprezentowało się ze swej najgorszej strony: w tym wolnosobotnym weekendzie niemożliwe było zjedzenie kolacji, wczoraz wszystkie czynne restauracje pękły od pijaków, po Krupówkach tańczyli się wyciąg potomkowie Janosika. Gdzie w tym miesiące podziewa się tzw. elegancka publiczność?

JERZY LOHMAN  
(„Życie Literackie”)



## Co widać ze Sącza?

Spotykam dawno nie widzianego kolegę. Na zwykłe w takim razie pytanie: co robisz? — odpowiedział: — Robię w kwiatkach.

— To po co ci był dyplom?

— No, dyplom też się przydaje, z magistrzem inaczej gadają po urzędach.

Kolega pochodził z rodziny drobnych urzędników. Jego ojcu nigdy żaden interes się nie śnił, wystarczała mu co prawda niewielka, ale dość pewna oteczka specyficznego autorytetu w prowincjonalnej dziurze, stała pensyjka i perspektywa emerytury. Syna też widział funkcjonariuszem publicznym, tyle że znacznie wyższym od siebie. Posłał go więc na uniwersytet. Ten studia skończył, trzy lata pokreślił się na posadzie — i do kwiatków. Zaczął od małego kiosku, dziś ma ich całą siatkę, w dwóch województwach. Firma prosperuje, właściciel kwitnie.

Coraz to częstsze zjawisko: wystarczy przelrzeć kolumny ogłoszeń w popularnych gazetach. Posiadacze dyplomów rzucają się w wir rynku

# PISZĄ O NAS

## Kto uśmiercił misia?

Zastanawia spokój dyrekcji Parku. Najpierw nie robi nic, aby usunąć niedźwiedzia z rejonu turystycznego (pojawił się tam już jesienią), potem nie wszczyna żadnych kroków, kiedy dowiaduje się, że parkowy strażnik strzelał do zwierzęcia. Wiemy z kolei, że zarówno GOPR, jak i lotnictwo sanitarne, proponowały Parkowi usunięcie niedźwiedzia i przetransportowanie go śmigłowcem w tatrzańskie ostępy (ustalono m. in. rejon Wołoszyna). Obserwacje na ten temat wypowiedziano się również w gazetach, poruszyła go telewizja, mówiono w radiu — tatrzański niedźwiedź stał się w pewnym momencie przedmiotem rozmów w całej Polsce. Jedynie Park Tatrzański milczał.

ZBIGNIEW RINGER  
(„Dziennik Polski”)

## W Zakopanem powstanie Muzeum Literatury

Na krócej, bądź dłużej, wzięli się w Zakopanem wybitni pisarze, poeci. Na domach, w których mieszkali i tworzyli, umieszczono tablice pamiątkowe, poświęcone m. in. Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu, Henrykowi Sienkiewiczowi, Stefanowi Żeromskiemu, Koźmierzowi Przerwie-Tetmajerowi, Józefowi Conradowi-Korzeniowskiemu, Julianowi Tuwimowi.

W Zakopanem działają muzea biograficzne Jana Kasprowicza i Kornela Makuszyńskiego, na Cmentarzu Zasłużonych znajdują się groby Władysława Orkana, Kornela Makuszyńskiego, Stanisława Nędzy-Kubińca. W zbiorach Muzeum Tatrzańskiego, a także Miejskiej Biblioteki Publicznej, znajdują się cenne dokumenty, dotyczące związków wielu wybitnych twórców polskiej literatury z Tatrami i Podhalem. Ostatnio podjęto inicjatywę zorganizowania w stolicy Tatr Muzeum Literatury.

(PAP)

## Z piekła rodem

Rabka już dawno, przed laty, zniszczyła swą zabytkową zabudowę. Rozbalażona — przepiękną linią horyzontu

przez budowę bardzo niestylowych domów, domków i innych potwornych willi. No, ale to się już stało i teraz można by pomyśleć o zachowaniu tego, co jednak zostało.

Ale gdzie tam: oto od strony ulicy Sądeckiej, tam gdzie jej linia odslania jedyne prawdziwie zabytkowe miejsce Rabki, mają powstać bloki mieszkalne. Jest to pomysł z piekła rodem. Zresztą dziesięć już się go realizuje, bo po tej zabytkowej stronie (...) płyną, niczym łódzie-koszmary, jakieś wstrętne domiska, willasy i inne straszne pomieszczenia.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK  
(„Gazeta Południowa”)

## W Lubniu

Lubień — gmina na peryferiach województwa nowosądeckiego — w czynach społecznych na jednego mieszkańca wyprzedza takich możnych sąsiadów, jak Jordanów i Rabka. W Skomielnej Białej budują 2 km dróg dojazdowych do pól, w Krzeczowie — remizę OSP, która w przyszłości będzie centrum kulturalnym wsi. Na tę inwestycję wsi wydatkowała 700 tys. zł, głównie w robotnicie. Niewiele mniej, bo 500 tys. zł, wyasygnowano w Lubniu na rozbudowę przedszkola.

Choć spory jest odsetek ludności wyjeżdżającej do ośrodków przemysłowych

— przecież rolnictwo wcale nie jest kopciuszkami. Ostatnimi laty Lubień stawia na hodowlę owiec, na tym polu odnosząc dość znaczące sukcesy. W ogóle hodowla jest mocną stroną gminy.

KAZIMIERZ BRYNDA  
(„Gazeta Południowa”)

## Woda dla Jordanowa?

Rejonowe Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Nowym Targu uprzejmie wyjaśnia, że w związku z planowaną rozbudową m. Jordanowa (...) oraz zaznaczającym się deficytem wody podjęto w 1974 roku decyzję o budowie nowego ujęcia wody na rzece Skawie, wspólnego dla KZA Kraków i m. Jordanowa. Inwestorem dla tej inwestycji zostały KZA Kraków, generalnym wykonawcą Krakowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 2. Termin rozpoczęcia budowy ustalono na 1 VI 1975 r., a zakończenia i przekazania do eksploatacji na 31 III 1977 r.

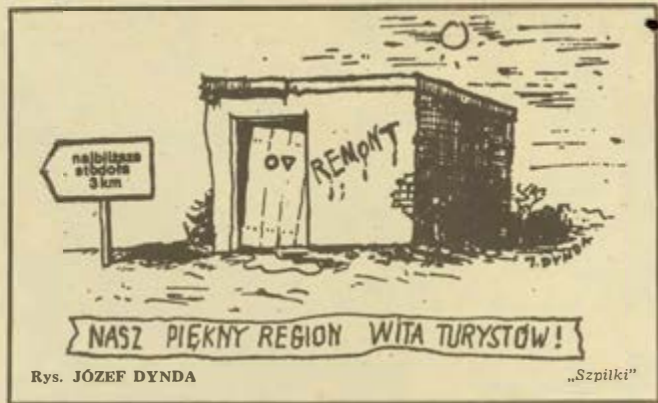
Do dnia dzisiejszego inwestycja ta nie została zakończona.

Mgr inż. KAZIMIERZ WÓJTOWICZ  
(Dziennik Polski)

## Z „Juventurem”

Specyfika naszego regionu — mówi Roman Morańda, przewodniczący ZW ZSMP w Nowym Sączu — zobowiązuje do starań, aby model turystyki młodzieżowej nie tracił na atrakcyjności. Przystąpiliśmy do tworzenia schronisk młodzieżowych i bacówek, które będą oparciem dla młodych, którzy chcą ciekawie spędzić czas, wędrować po Sądeckim, poznawać kraj bezpośrednio, a nie przez szybły autokar. Taki styl działania przyjęł nasz „Juventur”.

(„Walka Młodych”)



Rys. JÓZEF DYNDĄ

„Szpilki”

do góry i zabiera ze sobą tych, co jej zawierzyli. Najgorsze, że oni zaczęli stawiać się wzorcem. Za kierownicy malucha widać wyraźnie, że nie dogoni się mirafiori. Chyba, żeby przesiąść się do mirafiori.

Całe szczęście, że forsa nie stanowi jeszcze u nas celu samego w sobie. Jest celem, o ile służy konsumpcji. Tutaj też trzeba uderzyć się w pierś. Fala sukcesu pierwszych lat siedemdziesiątych, ściągających z dostatniej konsumpcji fałszywe o-

przeciwny wysokim zarobkom robotników. Sam mam tu niejakie doświadczenie i wiem, co to praca fizyczna... Nie znajdują jednak uzasadnienia, aby młodziak po zawodowej zarabiał dwa, czy ileś tam razy więcej od łachowca z wyższym wykształceniem. To demoralizuje, a i gospodarce nie wychodzi na zdrowie.

Zatem fachowiec zwiada do kiosku. Dostał dyplom. Kto mu go w większej części zufundował? No jasne — społeczeństwo. Licząc na to, że dług spłaci. Nie chodzi o te ustawowe trzy lata, wymuszane przez pełnomocnika, czy umowne dwieście tysięcy kosztów. Chodzi o to, że socjalizm nie zbudują placacy wysokie podatki, lecz biorący co miesiąc z kasy średnio pięć.

Magistrze, wstępując na studia, zawarłeś ze społeczeństwem swego rodzaju umowę. Zająłeś pewnie miejsce komuś, kto by się z tej umowie lepiej wywiązał. Nie widzę powodu, żebyśmy mieli płacić za poprawę twojego samopoczucia i możliwości dopisania tytułu na sztydnie. Nie wierzę w czarodziejską moc dekretołów. Tutaj jednak możliwość regulacji wydaje mi się dość prosta: magistrze, powinienes zapłacić — w swojej walucie. Za to, że nas wykiwałeś.

WACŁAW RACZKOWSKI

## Robię w kwiatkach...

nej oceny prywatności, choć pewnie jest, że do socjalizmu nas ono nie zbliża. Skłonny jestem nawet częściowo zrozumieć zmieniających sektor, skoro są znużeni urzędowaniem, sfrustrowani niemożnością i marnym szefem. Ale to tylko część powodów, i to niewielka. W końcu można poszukać lepszej pracy.

Decyduje forsa. Wątpię, czy ktokolwiek potrafi dokładnie określić, kiedy to się zaczęło, kiedy zaczęliśmy trochę gubić ceną wychowawczą zdobyć 35-lecia. Od jakiegoś czasu forsa, kiedyś zrzucona na ostatecznie szczeble drabiny, wspina się

dłum, przynosiła ze sobą kolosalny wzrost apetytów. Ich zaspokojenie ze znanych względów nie jest jeszcze możliwe. Człowiek jednak ma skłonność do szybkiego przystawiania się do dobrego, a przynajmniej do marzeń. Dla marzeń nie trzeba nawet szczególnie się wysilać — gotowe wzorce stoją na przedmieściach i śmigają po ulicach. Inteligent frustruje się jeszcze dodatkowo widząc, że w dochodach wyprzedzają go nie tylko tzw. relikty poprzedniej epoki, ale i ci, co tradycyjnie w tym względzie byli za nim. Tutaj uprzedzam atak twardogłowych — nie jestem

## Dukaty ze spiskiego kotlika

Zbieranie gawęd ludowych to jakby zbieranie zaginionych czy skrytych dukatów w ziemi. Włożymy je po odnalezieniu do właściwego naczynia, by utrwaliły dla kultury ludowej nieoceniony skarb, jakim były ongiś dla zbójników dukaty w kotliku — napisał MICHAŁ BALARA w słowie odautorskim, poprzedzającym teksty 25 gawęd z północnego Spisza Zamagurskiego oraz z Południowego Zamagurza i z Piecin, składające się na „Spiski kotlik dukatów”.

W starannie wydanym w „Serii tatrzańskich” WL tomie Michał Balara przedstawia część swojej kulturowej ojcowizny: mowę i twórczość literacką górali spiszkich.

Urodzony we Frydmanie od dziecka mówił spiską gwara. Naukę w szkole rozpoczął w języku węgierskim. Również w tym języku i na węgierskich podręcznikach kontynuował edukację w gimnazjum w Podolińcu. Dalszy ciąg edukacji — w szkołach średnich w Lewoczy i w Nowej Wsi odbywał w języku słowackim. Gdy z nominacją nauczycielską rozpoczął pracę w szkole w Krempanach — uczył już po polsku. Ta część jego życiorysu to zarazem fragment nie prostej historii Spisza i Orawy.

Nauczyciele więcej w tamtej dobie zapisał piękną kartę nie tylko w dziejach polskiej oświaty. Michał Balara łączył pracę nauczycielską z żarliwą działalnością na rzecz wsi, jej godności, ochrony jej rodzimej kultury. Parę gawęd zawartych w „Spiskim kotliku dukatów” ogłosił drukiem już w pierwszej połowie lat trzydziestych. W latach 1936—39 był redaktorem naczelnym „Gazety Podhalańskiej”, pisma ogromnie zasłużonego dla Podhala, w którym publikował również gawędy spiskie i opowiadania. Są one dokumentem chłopiejskiej literatury w jej najbardziej archaicznej, mówionej formie. Dokumentem znakomicie i ze znawstwem sporządzonym.

## Profesor nad Popradem

Zakres naszych poszukiwań i zainteresowań przeszłością jest wieloraki: prehistoria i początki cywilizacji, historia państwa dawnych i dzisiejszych, dzieje ojczyzny, a obok nich, jako pierwowzrostki myślenia historycznego — przeszłość własnego regionu. Ta ostatnia nie może być dla nas obojętna, bo człowiek ma w sobie dwie ojczyzny: tę szerszą — narodu, do którego należy, i tę bliższą — kraj lat dziecięcych, młodości, w którym przyszło mu żyć. W ten sposób spełniamy bezwiednie wezwanie najznakomitszego poety rzymskiego Wergiliusza: „Antiquam esquire matrem” — poszukujcie swej starodawnej macierzy — pisze prof. dr HENRYK BARYCZ w przedmowie do „Historii Starego Sącza od czasów najdawniejszych do 1939 roku”.

Praca nad książką zaczęła się w 1973 roku, a zorganizowanie zespołu autorów wraz z redakcją powierzono jednemu z wybitnych krajan, historykowi prof. dr Henrykowi Baryczowi.

Trud przebadania dziejów miasta dał piękny rezultat. Książka zawiera wszechstronny obraz przeszłości od pradziejów po lata międzywojenne.

Dla starszyczan jest cymś na kształt historii własnego domu i zarazem herbarza tutejszych rodów: szewców, bednarzy, rybaków, płócienników, sukienników. Czytelnik mniej osobliwie traktujący tę pracę znajdzie tu cały szereg ciekawostek z życia codziennego w okresie staropolskim, interesujące informacje o zabytkach od XIII wieku począwszy, o urbanistyce i architekturze — potwierdzające ogólnokrajowe w tych dziedzinach znaczenie małego miasteczka nad Popradem.

## Wanda

WANDA, z domu Kościelniakówna, po mężu CZUBERNATOWA, mieszka w Rabie Wyżnej. Pisze wiersze, pieśni, teksty kabaretowe. Tworzy w języku literackim i w gwarze podhalańskiej, która okazuje się nad podziw bogata: wystarcza jej na cięta, mocną satyrę i na subtelne wiersze liryczne.

Jolanta Antecka

# LAUREACI

Jak już informowaliśmy, sędzka „Kuznica” wspólnie z „Dunajcem” przyznała nagrody autorom prac, które ukazały się drukiem w ostatnim roku i podejmują ważne dla regionu nowosądeckiego problemy. Dziś prezentujemy Laureatów.

Wiersze zadziornej dziewczyny ze skowronkiem w sercu, a i diabłem też gdzie należy — szybko torowały sobie drogę najpierw do słuchaczy i zaraz potem do czytelników. Wanda Czubernatowa ma legitymację Stowarzyszenia Twórców Ludowych z numerem tak niskim, że lepiej niż cokolwiek innego świadczy, iż dość wcześnie znalazła się wśród hrubych gazdów na poetyckiej dziedzinie.

Wanda pisze tak jak ptak śpiewa: z natury rzeczy. Ale dokładnie zna różnicę pomiędzy kształtem słowa mówionego a jego znakiem na papierze. Zabiera się ponownie do wiersza już zapisanego, albo podpala nim w piecu.

Wanda Czubernatowa tworzy nie tylko wiersze. Za jej sprawą zakwitł w Rabie Wyżnej kabaret „Fijolek”, o którym głośno było nie tylko w ówczesnym województwie krakowskim. Z powodzeniem organizowała też wiejskie święta kultury w Rabie Wyżnej w latach, gdy takich spotkań było nieco mniej niż obecnie. I choć lat trochę nie było — uczestnicy rabiańskich spotkań zachowują je w dobrej pamięci.

Próbowała też Wanda swoich sił w twórczości plastycznej, z czego — jak się wydaje — zbyt łatwo zrezygnowała. Zresztą — jej sprawa. Czubernatowa nigdy nikogo nie pociągała natrętnie, co i jak tworzyć powinien, zatem i jej decyzjom należy się tyleż co najmniej szacunek.

## Odejście z gór?

„Listy o stylu zakopiańskim” to kolejna pozycja w dorobku MICHAŁA JAGIEŁŁY, związana z artystyczną ołkicą Tatr. Pierwszą była praca magisterska na temat tatrzańskich literatury turystrycznej.

Przyjaźń Michała z Tatrami zaczęła się w latach studenckich nie tyle od literatury co od taternickiej praktyki. Jagiełło spędził pod Tatrami 10 lat: od roku 1964 do 1974. Pracował w szkole Kenara, w GOPR (udział w ok. 150 wyprawach ratunkowych), przez pewien czas był związany z Muzeum Tatrzańskim.

W 1969 r. po raz pierwszy jego nazwisko pojawiło się na książce: wspólnie z Anną Micińską opracowali „Żywot górala poczciwego” — wspomnienia i gawędy Wojciecha Brzezi. W 1975 r. były „Tatry w poezji i sztuce polskiej” (wybór tekstów i esej wstępny). W 1978 roku debiut prozatorski: „Obsesja” — tom opowiadań, do których tematu dostarczyły góry i środowisko taternickie oraz „Hotel klasy Lux” — powieść osadzona w zakopiańskich realiach.

Jest również literatura faktu: wydane w 1973 r. „Sygnały z gór”, a w sześć lat później, w 1979 roku — „Wolanie w górach”. W tym samym roku ukazała się jedyna w dotychczasowym dorobku Michała Jagiełły książka nie z zakopiańsko-górskiego kręgu rodem: tom opowiadań „Świeciła obroż”. Od kilku lat Michał pracuje w Warszawie.

My — ludzie z zewnątrz — przychodzimy, robimy dużo zamieszania, wprowadzamy nowinki ze świata, forsujemy obrazoburcze plany i zazwyczaj odcho-

dzimy po jakimś czasie do swych wyuczonych zajęć. A Oni trwają — z dziećmi na oca, z oca na syna” — napisał Michał Jagiełło w odautorskim słowie do „Wolania w górach”.

To prawda. Tylko, że ja w Twoje odejście, Michał, nie wierzę. Wspiera moją niewiarę rejestr książek i dat, które ze skrupulatnością buchaltera przytoczyłam. Człowiek tak naprawdę jest tam, gdzie mieszkają jego myśli.

## Żywo i polemicznie

ANTONI KROH jest publicystą, tłumaczem literatury czeskiej i słowackiej, ma za sobą debiut literacki w prasie (tom opowiadań złożony w wydawnictwie pozwała oczekiwać na debiut książkowy), przede wszystkim jednak jest etnografem. Z wykształcenia, z pasji i z wykonywanego do dziś faktycznie zawodu.

„Współczesna rzeźba ludowa Karpat Polskich” to suma badań terenowych, dla których punktem wyjścia stał się organizowany przez Muzeum w Nowym Sączu konkurs pod tą samą nazwą. Antoni Kroh był komisarzem paru kolejnych konkursów, a w swoich badaniach terenowych rzeczywiście przemierzył zawarty w tytule książki teren, penetrując go nader starannie.

Książka, która znikła z półek księgarskich w tempie nader wartkim jak na pracę naukową, jest pozycją niecodzienną.

Godzi się zauważyć jej język. Jest to jedna z coraz rzadszych w piśmiennictwie naukowym pozycji, które czyta się bez pomocy słowników. Osobliwość stanowi także odwaga ujawnienia własnych, odrębnych poglądów Autora. One decydują o tym, że w tę żywą i polemiczną pracę warto się włączyć.

Otrzymałmy od Kroha poważny i rzetelny traktat o współczesnej rzeźbie ludowej w polskich Karpatach, z całą złożonością zjawisk artystycznych i socjologicznych. Jedną z tych prac, dla których stworzenia trzeba wykreślić parę lat z życia, i jedną z tych, dla których rzeczywiście warto to zrobić.

## Krajobraz kultury

Koncepcji obszernie prezentowanej przez TADEUSZA SZCZEPANKA w „Roczniku Podhalańskim” nie da się zamknąć w wybranym z tego tekstu cytacie, a i włożyć ją trudno w kilku zdaniach nie ryzykując bardzo daleko idących uproszczeń.

W największym skrócie — rzecz idzie o to, że gromadzenie obiektów budownictwa ludowego z paru regionów na jednym kawałku ziemi zawsze prowadzi do wyrwania ich z naturalnego niejako kontekstu. W rejonie działania Muzeum Tatrzańkiego, zróżnicowanie stylistyczne, historyczne, urbanistyczne (jeśli ten termin może znaleźć zastosowanie w odniesieniu do wsi) problemy te rysują się szczególnie ostro.

Równocześnie — jest to rejon, gdzie w sposób naturalny powstały zespoły obiektów o muzealnej dziś wartości. Takim zespołem jest ul. Kościeliska w Zakopanem, wieś Chochołów. szalasy

pasterskie na halach tatrzańskich, polana Podokólna, gdzie mniej więcej przed wiekiem Spiszacy przenieśli swoje szalasy i ustawili je w starym układzie działów — żeby choć parę najbardziej znanych przykładów wymienić. Jest również w Zubrzycy Górnej niewielki skansen orawski, jednorodny w charakterze i bardzo szczęśliwie uytuowany. Jest cały szereg pojedynczych obiektów, które mają sens przede wszystkim w miejscu, gdzie stoją — i tam należy je otoczyć fachową opieką. Wiele tych obiektów nie wymaga sztucznego ożywiania, a pozostawione na wsi są zarazem jej metryką i świadectwem tożsamości.

W myśli koncepcji Tadeusza Szczepanka — idzie o ochronę obiektów bądź zespołów zabytkowych przede wszystkim in situ — tam, gdzie wraz ze swoją historią i legendą współtworzą krajobraz kultury — przy mądrej nad nimi opiece.

## Wsparcie z Krakowa

Związki EDWARDA WALIGÓRY z naszą ziemią są nieco inne niż Henryka Barycza czy Michała Jagiełły. Pracując w Krakowie wspiera nas swymi przemyśleniami i inicjatywami, podobnie jak wielu innych twórców czy naukowców spod Wawelu.

Historyk sztuki z wykształcenia, z temperamentu działacz społeczny, od kilkunastu lat kieruje krakowskim Muzeum Etnograficznym, które pod jego dyrekcją przeszło kurację odmładzającą: zmodernizowana ekspozycja stała, dynamiczna praca oświatowa, naukowa i wydawnicza, ofensywna polityka zakupów i penetracja terenowa, stała obecność pracowników naukowych w konkursach i przeglądach sztuki ludowej — oto obszary, na których najczęściej dochodzi do styków tej placówki z naszym województwem. Nie można sobie bowiem wyobrazić ambitnego muzeum etnograficznego, które nie współpracowałoby z regionem tak bogatym w chłopską sztukę i kulturę jak nasz.

Szczególnie cieszy ostatnią książką Edwarda Waligory o najwybitniejszym bodaj z żyjących ludowym rzeźbiarzu z Dębna, Józefie Janosie. Nie było łatwo dotrzeć do twórcy, który izuluje się świadomie od kontaktów z ludźmi. Zasięg Waligory jest łączne potraktowanie twórczości plastycznej i poetyckiej Janosa. Takiej próby nikt do tej pory nie podjął. Ponadto książka pt. „Bogactwo jest tu nie” — bardzo starannie wydana — przynosi interesującą materiał ilustracyjny ukazujący najcięższe prace Janosa, rozproszone po różnych zbiorach, muzeach i kościołach.

Obszerny fragment rozprawy Edwarda Waligory drukowaliśmy już na łamach „Dunajca”.

## Wiersze z Gorców

Z reprodukcją w tomiku wierszy podtętny patrzysz wyraziste oczy młodej, ładnej dziewczyny. Ileż pór roku zdążyło się już w nich przejrzeć, ile wstęchów i zachodów słońca nad górami...

ANTONINA ZACHARA-WNĘKOVA ma 86 lat. Jest najstarsza z żyjących poetek góralskich, należy też do pokolenia najstarszej żyjącej inteligencji góralskiej.

Urodziła się w Olszówce, pięknej wsi w Gorcach. Ukończyła prywatne gimnazjum w Krakowie, potem pojechała do Wilna. W Uniwersytecie Stefana Batorego studiowała ogrodnictwo.

Od lat mieszka w Rabce. Dopóki sił starczało — pielęgnowała najpiękniejszy z rabczańskich ogrodów. Od lat pisze wiersze. Dopóki sił starczało — brała czynny udział w życiu zakopiańskiego Klubu Literackiego.

Pisze językiem literackim i gwara górali gorczańskich. Tworzy wiersze refleksyjne, liryczne — i prosiutkie, wywodzące swój rodowód bezpośrednio z góralskiej pieśni. Świat przyrody ze spala się tu z ludzkim losem, z radościami, z przemianami.

„Wiersze z Gorców” to pierwszy wydany drukiem tomik seniorki poezji góralskiej. Nie miała jakoś szczęścia do wydawców, jakkolwiek sporo jej wierszy ukazało się w prasie w ciągu ostatnich kilkunastu lat.

# GAWĘDY JANUSZA KOSZYKA...



Janusz Koszyk w lachowskim stroju podczas Święta Kwitnącej Jabłoni (z lewej — Leszek Mazan)

## Słaba pleć

Za stół przydialny wzięła Migdono, przewodnicząca Koła Gospodyń i zagajęła:

— Gmina nasza zawdy przodowała we wszelakich kampaniach. Teraz mo szanse jako piersa w Polsce stać sie rezerwatem trzeźwości. Na pocontek proponuję przepić za pomysłność eksperymentu mioszczem z cornej porzecki roboty Cepielki!

Muzyka Blascoków dała letki podkład, żeby zagłuszyć lodgłosy tu i ówdzie odbijanych butelek. A bez ten czas na stół wjechały kanapki z substytutem jajeczno-jarzynowym „a la Bodziony” na ceść naskiego sołtysa. Potem była lorgia mlycno. Widziało mi sie to całkiem dobre, bo słodkie i swój procent... tłuscu miało.

Ale tak koło dziewiąte Bodziony poźroł na zegarek, poderwoł sie i w imieniu zaproszonych chłopów podziękwoł za gościnę napomykając, że alkoholizm jest za poważnem zjawiskiem na gminie, żeby go można było zlikwidować jednym cięciem, i że on widzi te walke rozłożonem na etapy, i na pirsym etapie widzi jescce ćwiortke.

Trza przyznać, że zabawa bezalkoholowa była miła i cłowiek dłuzy by tam posiedziół, cóż, kiej jak roz gospodę zamykają o dziesiąty! A my chłopcy — wedle gorzółki — wstyd przyznać, jesteśma tako bardziej słabo pleć.

## Szrapnel

Zalił sie roz Pieter Syska, że mu w piecu nijak nie ciągnie, znacy sie ni ma cugu. To Tobijos, co zawdy śpasy ludii, poradziół Pietrkowi, że loszół sie mu z pirsze wojny światowe śrapnel, to mu go pożyczyc, żeby wrazii na ruśta, a pewnikiem mu przedmucha.

No i przedmuchało, ino że Pieter juz tam nie miysko.

## Bardzo przytomnie

Zaszedłem kiejsi do Kazimiercoka, bo chłop był chory i żeby go podniysć na duchu godom:

— Cosi mi sie widzi, Antoni, że w przyszych wyborach front narodowy będzie miół o jeden głos mniej!

Rozezilił sie na to Kazimiercok i zwracoł sie do swojej kobity:

— Maryś, podej mi kiliesek gorzółki. Jak stane przed świętym Pietrem, żeby mnie nie wziął za łobco-krajowca!

Jak to dzieci posylaszy, zaczęły lamentować, że tata chce sie umieraniem od żniw wymigać.

Skinał na nie ręką Kazimiercok i tak mówii:

— Tobie, Stasek, daje traktor. Jesteś profesorem gimnazjum, to ci sie pewnikiem nie przelewo. Skończysz kurs dla traktorzystów i po godzi-

nach w szkole dorobis se na fiata — kurdupla.

A ty, Franek, tymi naukami sie nie zajmuj, bo atomu i tak nie wymyślisz, a choćbyś i wymyślił, to po Helsinkach kariery z nim wielkiej nie zrobisz. Weź pole pod lasem, założ hodowle łowiec albo skłarnie.

Tobie, Julka, zapisuje matkę: jездеś w mieście, oboje z chłopem pracujecie, to jak roz bedzies miała gospodynia.

A tobie, Jasiu, nie dom nic. Wszycko ci sie do rąk klei, ino nie robota. Gadać duzo potrafisz, łeb do gorzółki mos łegi, z takimi kwalifikacjami nie zginiesz!

Mówię wam, przytomnie Kazimiercok umiyroł, bardzo przytomnie.

## Obiady czwartkowe

Zwiedzanie muzeum w Szoncu lodkryło mi prowadę, że cłowiek, który nie zna swoje przeszłości, choćby nie wiem jak stary był, zawdy dzieckiem zostanie. I wtej to postanowiłem założyć kabaret historyrcy we wsi. Mom juz nawet propozycje łobsady co głośniejszych postaci historycznych naskiem aktywem.

Ziemowitem będzie Stefek, miejscowy hipis, na którego łostrzą od dawna nożycki dwa anioły z MO. Mieszkiem robiema Pielra Syske, jako że chłop jest przebiegły i gotów przyjąć kozdą wiarę, jak sie mu to ino oplaci. Na Chrobrego nie widze u nos kandydata, totys chór z łogniska muzycznego łodpiwo ino kanytecke na ceść największego nasego turysty zagranicznego. Na Bolesława Śmiałego juz wyraził zgodę naski sekretarz. Gorzej z księdzem, który nie chce przyjąć godnosc biskupa krakowskiego zarzucając

sekretarzowi słabość do faktów historycznych i dogmatyzm. Bolesława Krzywoustego widze w starem Durcoku, gebe mo skrzywioną a i Psie Pole zno, bo mu je baba ciągiem sprawio. Prezesa GS, Kościulka, robiema Kazimierzem Wielgiem, bo zastół Gnojkwicze drewniane, a łostawi pewnikiem murowane, bo družyna prezesa wa budowała wieś jednorodzinne domkami własnościowemi.

Jo łosobiście, jako mecenas sztuki, mom grać nieszczęśliwego Augusta Poniatowskiego; pewnie że nieszczęśliwego, bo aktyrzy zarządziły se zaroz „łobiady czwartkowe” do świata artystycznego na koszt króla. Licze teraz ino, że domowy proletariat, który nosi imie Zośka, przejmie ster rządów w swoje ręce i bedziemy musieli z całem poczem koronowanych głów przejść na wikt „Samopomocy Chłopskiej”.

## Wizyjna impreza

Gnojkwicze i Kurcencin wytypowano do telewizyjnego banku — turnieju wsi. Znacy sie, że od tej chwili wszystkie sąsiedzkie urazy chałupniczo dotąd zalatwiane na weselach, staną sie sprawą łogólnopolską. Ponciktóre gospodarze ostrzyły kosy i podkuwały kłonicie. W obawie przed prześladowaniami autochtonów z Kurcencina zaczęła napływać fala uchodźców rodem z Gnojkwicze, ale pożenionych w Kurcencie.

Na znak rozpoczęcia telewizyjnej korridy sołtysy mieli wymienić kł-

nice. Sołtys z Kurcencina stracił przy okazji trzy zęby, a naski sie ino uśmiechnuł, nie przez to, żeby go tamten nie trafił, ino że nas sołtys juz nie jest... zgrzyliwy.

Po rozegraniu wszystkich konkurencji, kiej gnojkwiczenie hucnie świętowali zwycięstwo, po drugiej stronie rzeki słyhać było ino płacz i zgrzytanie zębów. Pomyślełem, że choć impreza wniosła duzo „aktywnej gotowości” i była wizyjno — dłuگو przyjdzie cekać, zanim zaplanuje pokój pod naskimi jabloniami.

Mieliśmy w tym miejscu drukować tekst JANUSZA KOSZYKA o rodzinnym domu dziecka w Krynicy. Jednakże gwałtowna choroba nie pozwoliła Mu dokończyć pracy. Odszedł od nas na zawsze. Nie zdążył odebrać złotej odznaki „Za zasługi dla województwa nowosądeckiego”. Nie przyniesie już żadnego artykułu, nie opowie — przy okazji — nowego dowcipu. A trzeba wiedzieć, że właśnie poczucie humoru było jedną z tych zalet Janusza, którymi podbijał ludzi.

Więc pomysłiliśmy sobie, że pogodnego, tryskającego życiem, przekornego i wciąż gotowego do kawałów Przyjaciela pożegnąć trzeba w sposób odpowiadający Jego upodobaniom.

Janusz często stawał na estradzie i bawił słuchaczy gawędami Moreina Łopolki, mówionymi łacnowską gwara. Zapamiętaliśmy z owych gawęd kilka okrucich żalek; nikt ich wszystkich, niestety, nie spisał. Niechaj prezentowane wyżej fragmenty zaświadcza, jak bardzo wrośnięty był Janusz w ludową głębę Sądeckizny. Takiego Go chcemy zachować we wdzięcznej pamięci.



Fot. ANTONI KROH

**M**ówią o nim: najwspanialsza polska rzeka. Zrodzona w krainie wysokich Tatr i tocząca swe fale przez najpiękniejsze tereny naszej Ojczyzny. Bystra, potężna, bogata, życiodajna. Zbierająca wody z całego niemal obszaru nowosądeckiego województwa. Idąc z jej biegiem, możemy poznać wszystkie problemy codziennego życia tej ziemi. Nasza rzeka. Dunajec jest niepokorny. Nie daje się okiełznać, nawet słowem. Dał mi to poznać, zaledwie przymierzyłam się do tego tematu-rzeki (dosłownie i w przenośni). Już na samym wstępie postawił mnie wobec trudności nielatwej do pokonania: **gdzie są dunajcove źródła?**

*Dziekiem gór jest Dunajec.* Ba, taka mądra to i ja jestem. Już encyklopedie i szkolne podręczniki podają, że wypływa z Tatr. I tu pierwsza przeszkoda: rzeki Dunajec, tak naprawdę, to wcale w Tatrach nie ma, jak twierdzą niektórzy. Inni zaś chcą, by były aż dwie: Czarny i Biały. Czy są to jednak już rzeki, czy jeszcze potoki? W dodatku one też własnych źródeł nie mają.

*...Udając się drogą między Tatrą ciemną do góry Kaletówki — tam szeptawo w knieję stajemy zachwyceni, widząc, co się dzieje: Witaj Biały-Dunajcu! Gwaltowny strumieniu!*

Tak pisał w 1860 roku Maciej Bogusz Zygmunt (nie jestem pewna, czy wszystkie to jego imiona) Szczyński w swym poemacie *Tatry w dwudziestu czterech obrazach*. A gdzie indziej, już prozą, tak wyjaśniał rodowód obu dunajcowskich potoków:

*Jedno koryto w Zakopanej dwudziestosiętnym pojawia się wodospadem, jasno, widocznie, w dzień biały, i to jest Biały Dunajec; a drugie koryto wypływa tajemniczo, niewidomie, z toną ciemnych pieczar, jakby z toną czarnej przepaścistej nocy, a więc jest to Czarny Dunajec.*

Do samego poniku rzeki nie dosięgając, bo Czarny Dunajec, kolebkę swoją nieodgadniętą, a nawet straszną i niebezpieczną, jak twierdzą tamtejsi górale, okrywa tajemnicą.

Ładne, prawda? I jakie proste! Dziś już nikt tak nie tłumaczy. Dziś już nawet chwałę dania początku obu Dunajcom odebrano „Zakopanej” i tatrzańskim pieczarom; rodzą się tam jedynie źródła i strumienie noszące własne imiona, łączące się, zlewające swe wody w potoki coraz potężniejsze, by dopłynąć do nierz, w podtatrzańskich dolinach, po raz pierwszy imiona Dunajców przyjąć: Białego — w Poroni-



nie, tam gdzie wspólnym korytem płynąć zaczynają Poroniec i Zakopianka, i Czarnego — w Witowie, gdzie Kirowa Woda (Kościeliska) łączy się z Siwą Wodą (Chochołowską). Żeby zaś nikt nie zechciał mniemać, iż któryś z tych potoków rodzących Dunajce mógłby być „ważniejszy” od innego, *Encyklopedia Tatrzańska Z. i W. Paryskich* ostrzega, że „dawniej mylnie sądzono”, jakoby Potok Kościeliski stanowił górny bieg Czarnego Dunajca, zaś Zakopianka i Bystra — Białego. *Tak przemija chwala...*

Płyną więc dwa Dunajce przez podtatrzańskie doliny, dając im życiodajną wodę i piękno srebrzystej fali. Aż pod Nowy Targ. Tam dopiero, wspólnie już, stają się rzeką Dunajec, i od tego miejsca zaczyna się odmierzanie kilometrów dunajcowego biegu. Oficjalnie. Bo dla mieszkańców Poronina Biały Dunajec, a dla Witowian Czarny — zawsze będą tym właśnie „ważniejszym”, „ojcem” całej rzeki.

Jak byśmy jednak nie lokalizowali początków Dunajca, nikt nie może zaaprecjować, że jego wody płyną rzeczywiście „spod samiućkich Tater”. I tam właśnie stajemy wobec jednego z najważniejszych problemów tej krainy i problemów Ziemi: konieczności ochrony środowiska naturalnego. Trzeba głośno bić na alarm! „Kryształowa” czystość górskich wód to dziś, niestety, mit, bo rzeczywistość jest gorzka i zartważająca: **wody Dunajca zafurawane są już u źródeł.**

Spójrzmy na śmietniska, składowiska puszek po konserwach wzdłuż turystycznych szlaków, nad brzegami potoków. Przyjrzyjmy się otoczeniu wysokogórskich schronisk. Roztoka, Morskie Oko, Pięć Stawów, Ornak nie mają oczyszczalni ścieków, a to oznacza zanieczyszczenie tatrzańskich strumieni w ich górnym biegu. Przyjrzyjmy się gospodarstwu wiejskim. Niegdyś nie hodowano tu świń, a przecież nierogacizna „produkuje” najwięcej nieczystości. Umiano wykorzystać gnojowicę. A nawozy sztuczne? Są mądre zarządzenia zabraniające, szczególnie w górach, przekraczania określonych norm ich stosowania, a przecież ile razy się zdarza, że dziwna i szkodliwa ambicja rozmaitych lokalnych władz każe im rywalizować w... przekraczaniu tych norm! Nie trzeba chyba nikomu rozsądnie myślącemu tłumaczyć, jak taka praktyka zwiększa zatrucie gleby, a w konsekwencji — wód. Na skutki tego nie trzeba było długo czekać: dziś w całej gminie tatrzańskiej nie znajdzie się, jak twierdzą specjaliści, ani jednej studni z czyszą, w pełni zdatną do picia wodą, a i woda z wodociągów coraz mniej nadaje się do tego celu.

Zagrożenie środowiska naturalnego Zakopanego i jego okolic zaczęło się rysować w dwudziestolecie międzywojennym, a lata po drugiej wojnie światowej sytuację tę pogorszyły. Szybka rozbudowa ośrodków wypoczynkowych, masowa turystyka pociągnęły za sobą

nieliczenie się z zasobami terenu. Jedynie porządne ujęcie wody dla Zakopanego działa od roku 1906 i, oczywiście, nie zaspokaja potrzeb. Skąd czerpie się resztę? Ano, różnie to bywa... Nie stworzono zabezpieczenia ani stref ochronnych dla ujęć wody, a ludzie wodę mieć muszą. Nie ma też dobrych, wydajnych na miarę potrzeb, oczyszczalni ścieków, nie bardzo wiadomo, co robić z nieczystościami stałymi. Ziemia nie jest już w stanie filtrować tych zanieczyszczeń, doły biologiczne sobie z nimi nie radzą. Splywa więc to wszystko wraz z deszczami, z mydlinami, z roztworami chemicznymi do potoków, coż więc się dziwić, że coraz rzadziej można w nich znaleźć nie tylko pstrąga, wyjątkowo wrażliwego na czystość wody, ale i jakąkolwiek inną rybę? Tylko człowiek, w swojej bezrozumnej ślepoty, ma jeszcze odwagę używać tej wody do swych potrzeb. Co mu, w końcu, innego pozostaje? — ktoś spyta.

Jeśli chcemy rozwijać turystykę, rozbudowywać miasta — róbmy to mądrze, stosując właściwą kolejność inwestycji i decyzji. Nie w tym bowiem rzecz, by, na przykład, zabraniać mycia samochodów w Potoku Chochołowskim, ale by stworzyć warunki tego mycia gdzie indziej. Zapraszamy turystów, również zmotoryzowanych, również z zagranicy — pięknie! Ale co im damy? „Kasprowy” — i kwatery przywatne z wychodkiem za stodołą? Gdzie w samym Zakopanem, nie mówiąc już o okolicznych wsiach, są publiczne toalety? Gdzie wyrzucić papier na turystycznym szlaku? Instytucje zajmujące się działalnością turystyczną i władze Parku Tatrzańskiego widują wieloletnie spory o zasadność budowy wyciągów i kolejek. Jakby to był problem najważniejszy dla środowiska. Jakby nie dostrzegały spraw ważniejszych, bardziej palących. A tymczasem proces niszczenia postępuje...

Kiedy wreszcie decyzje dotyczące budowy i rozbudowy osiedli czy ośrodków rekreacyjno-wypoczynkowych podejmowane będą wspólnie, autentycznie wspólnie, przez ludzi reprezentujących interesy nie tylko inwestorów, ale i interesy przyrody? Wyniki ekonomiczne nie mogą być rachowane w oderwaniu od rachunku strat i zysków ekologicznych! Najwyższy czas, aby zdać sobie z tego sprawę i wkalkulować to we wszelkie poczynania. Niezbędne jest systematyczne badanie atmosfery, gleb, wód, nawet hałasu, bo wszystkie te czynniki razem wzięte decydują o tym, co stanowi nie tylko najwyższą wartość naszego województwa: o jego unikalnych warunkach klimatycznych i krajobrazowych, ale o prostu o możliwościach życia człowieka na tej ziemi.

Czy nie należałoby zastanowić się nad zmianą profilu rolnictwa ziem górskich, wprowadzając zamiast niekorzystnej dla środowiska hodowli nierogacizny — uprawę na przykład ziół? Czy wolno dalej zabudowywać wszelkie place w miastach, niszcząc ich rolę „pluc”, dla oszczędzenia kosztów uzbrojenia innych terenów? Dlaczego nie zbuduje się specjalnych ujęć wody dla myjni samochodów i dla polewaczek, a zużywa i tak zbyt skąpe zasoby wody pitnej? Kiedy zostanie opracowana pełna dokumentacja miejsc na wysypiska śmieci? Kiedy gmina tatrzańska będzie miała wodociąg z prawdziwego zdarzenia? Dlaczego zakopiańską oczyszczalnię ścieków tak zaprojektowano, że już dziś, gdy jeszcze trwa jej budowa, wiadomo, że nie zaspokoi potrzeb? Te pytania wymagają natychmiastowej odpowiedzi. I nie oszukujmy się przy tym, że ustawa o chronieniu środowiska czy uchwała w sprawie rozwoju naszego województwa **same przez się rozstrzygną te wszystkie problemy.** Wiadomo przecież, że — na przykład — w ubiegłym roku nie były na naszym terenie prowadzone żadne większe centralne inwestycje związane z zabezpieczeniem wód przed zanieczyszczeniami, a potrzeby w tym zakresie nie tylko nie maleją, ale wręcz rosną.

Póki nie zrozumiemy — i nie wprowadzimy w życie — zasady, że wszelkie poczynania gospodarce muszą być poprzedzone starannym rozpatrzeniem ich wpływu na środowisko naturalne, póki wszechstronnie nie zabezpieczymy tego środowiska — nie będziemy mieć czystego powietrza, gleby, wód.

Powiem więcej: według mnie miarą postępu, miarą nowoczesności, miarą dojrzałości społeczeństwa jest to, na ile potrafimy **współżyć** z własnym środowiskiem przyrodniczym.

Czystość źródeł dunajcowskich wód jest jednym z wskaźników tej nowoczesności i dojrzałości.

## „Ostatnia wieczerza w karczmie przeznaczona do rozbiórki“

Po raz pierwszy spotkałem ich na KRAMIE'78. Grał na pożyczonych instrumentach. Zdobyli wtedy pierwszą nagrodę w przeglądzie zespołów muzycznych. Znaleźli mecenasa — Zarząd Wojewódzki ZSMP w Nowym Sączu. Zespół nazywa się dość osobliwie „Ostatnia wieczerza w karczmie przeznaczona do rozbiórki“, a działa przy Miejskim Ośrodku Kultury w Gorlicach.

OKRES ZIELONY  
(KAWIARNIANY)

rozpoczął się muzykowaniem w salach dancinowych, graniem kawalzków Wintona, Dylena, „Głębokiej studzienki” i pierwszej zwrotki „Góralu czy ci nie żal” — bo następnym słuchaczom nie znali. **Bogusław Diduch** — absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z pierwszych filmoznawców wykształconych w Krakowie; **Wiesław Lewek** i **Jacek Pietruszka**, skromni pracownicy biurowi — rychło doszli do wniosku, że to, co dotychczas grali, nikomu na nic się nie przyda i że lepiej byłoby wszystko zacząć od początku — żadnych szlagierów, a tylko piosenka poetycka, poezja śpiewana. Do zespołu dołączyło jeszcze kilka osób. Powstała sekcja instrumentów perkusyjnych, ale z ludźmi były kłopoty — jednym nie podobala się strona dźwiękowa, innym finanse. Ostatecznie zostali we trzech.

Po koncercie, na którym zrobili furorę na KRAM-ie, dosiedli się Kolarz z Cyganikiem i Torbusem i dalejże radzić: co robić, czego szukać w muzyce, jakie teksty śpiewać. Dla startującego dopiero zespołu była to pomoc cenna. Rozpoczął się prawdziwe śpiewanie. Najpierw teksty Bellona i Sikorowskiego, potem wiersze „Tyliczan”.

OKRES NIEBIESKI (PEKAESOWY)

a z nim wojażowanie. Koncerty w różnych miastach. Pierwsze sukcesy. Pomógł nowosądecki WOK, dołączyli się Związkowi Zawodowcy. Sprzęt dostali z Miejskiego Ośrodka Kultury w Gorlicach. Dzięki mecenasom zespół bierze udział w ciekawych imprezach. Dwukrotnie zakwalifikował się do udziału w Międzwojewódzkim Przeglądzie Zespołów Muzycznych w Bytomiu, zdobył również specjalną nagrodę na festiwalu „Piękno Bieszczadów w piosence”, w Sanoku w 1978 roku. Ale apetyty są większe. Cóż, kiedy jurorzy mówią o nich na konkursach poezji śpiewanej, że forma muzyczna przerasta treść, zaś na konkursach piosenek poetyckiej — odwrotnie, że muzyka nie dorasta do wartości, które tenże sam tekst niesie.

Na razie okres niebieski trwa. Pekaesem nie raz jeszcze przyjdzie pojechać na koncert.

OKRES RÓŻOWY  
(MARZENIA I AMBICJE)

Doświadczeni i tekstów przybywa. Zaczęli dla nich pisać Pacuła i Brataniec. Zaspiewali kilka piosenek do słów Górszczyka i Grabowskiego. Otwierają się przed nimi ciekawsze perspektywy. Zostali zaproszeni do krakowskiego radia na nagranie kilku piosenek. Teksty są dojrzałe, muzyka bardziej dopracowana. Sami też mówią, że w przyszłość patrzą przez różowe okulary.

LESŁAW HORWATH



Ubiegłoroczne widowisko plenerowe nad Dunajcem fotografował JERZY ŻAK. W czerwcu znów spotkamy się na imprezach Święta „Gazety Południowej”. Będzie ono tym razem inne, ale emocji na pewno nie braknie.

## ŻÓŁWIE TEMPO

Problem mieszkaniowy znajduje się nadal w centrum uwagi władz i społeczeństwa. Zainteresowanie tak jest zrozumiałe, gdyż rozwiązanie tak trudnej kwestii wymaga wciąż ogromnych i intensywnych wysiłków. Baczniejszą uwagę zwraca się na budownictwo indywidualne. W bieżącym roku dynamika rozwoju w tym właśnie systemie wyprzedza uśrednione budownictwo wielorodzinne. To wysokie tempo będzie również utrzymane w nadchodzącej 5-letce. Zakłada się, że w latach 1981—1985 budownictwo jednorodzinne odda do użytku ok. 450 tys. mieszkań tj. 30 proc. całości efektów budownictwa mieszkaniowego. W niektórych województwach budownictwo niskie przekracza już 60 proc. ogólnej ilości nowych mieszkań.

W minionym roku na terenie Nowego Sącza oddano do użytku 125 domów jednorodzinnych, które stanowiły „tylko” 20 proc. ogólnej ilości wybudowanych mieszkań. Biorąc pod uwagę fakt, że powierzchnia mieszkań w tym systemie jest znacznie większa jak w uśrednionym, można przyjąć, iż budownictwo jednorodzinne partycypowało w granicach 40 proc. oddanej do użytku powierzchni. Obserwując w naszym mieście budownictwo indywidualne widzi się pewne ujemne zjawiska, których przewyżczenie mogłoby przyczynić się do znacznego zwiększenia efektów ilościowych i to w stosunkowo krótkim czasie.

Niektóre wille wyrastają w ciągu kilkunastu miesięcy. Jednakże widzi się również budowy w stanie surowym lub daleko zaawansowanym, pod dachem, na których przez długie miesiące, a nawet całe lata, nic się nie robi.

Trudno fakt ten tłumaczyć tylko brakiem materiałów czy pieniędzy. To prawda, że materiały nie dla wszystkich są jednakowo dostępne. Ale istnieją również inne przyczyny przerwania budów i warto się nimi zainteresować. W tej wcale nie małej ilości od dawna nie kończonych obiektów kryją się bowiem spore rezerwy. Nie można dopuszczać do niszczenia w budowanych już cennych materiałach. Są w nich zamrożone fundusze społeczne w postaci robocizny, kredytów bądź pożyczek udzielonych na budowę. Zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa budowlanego wyznacza się terminy nie tylko rozpoczęcia, ale i zakończenia budów. W uzasadnionych przypadkach można je przedłużać, lecz nie należy tolerować przeciągania budów w nieskończoność. Pilny interes społeczny wymaga, aby domy te zostały w jak najszerszym czasie wykończone, a mieszkania zasiedlone.

ZYGMUNT BŁASZAK

## SĄDECZANIE na studiach

W styczniu br. rozpoczął działalność Krakowski Klub Studentów Sądeczan. Propozycja utworzenia Klubu wyszła od dwóch studentów nauk politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego — KRZYSZTOFA POPIELI i TADEUSZA JABLONSKIEGO. Dla swego pomysłu zdolał pozyskać blisko 70 osób. Inicjatywa od samego początku interesowała się Zarząd Wojewódzki ZSMP w Nowym Sączu, który na mocy podpisanego wcześniej porozumienia, wspólnie z Zarządem Krakowskim SZSP otoczył opieką nowo powstały Klub.

Praca w klubie braktowana jest jako przedłużenie dawnych przyjaźni, pomoc młodszym kolegom w zaadaptowaniu się w nowych warunkach.

Ponieważ sądeczanie studiują na wszystkich krakowskich uczelniach, klub chciałby zorganizować akcję mającą na celu zaprezentowanie swym członkom możliwości zatrudnienia, jakimi dysponuje ich rodzimy region, a i zakładom pracy ułatwiliby to znalezienie wykwalifikowanych kadr.

Statutowa działalność klubu ma za zadanie podtrzymywanie więzi z rodzimą ziemią przez prezentację dorobku sądeckiego środowiska twórczego, udział w imprezach organizowanych przez ZW ZSMP w Nowym Sączu.

Klub stara się nie tylko brać, chciałby też dawać coś od siebie w miarę skromnych możliwości. W ostatnią sobotę kwietnia członkowie klubu przyjechali do swych młodszych kolegów wybierających się na studia, by poznać ich z warunkami przyjęć, poinformować o systemie nauki w szkole wyższej, a bardziej ciekawych poznać z programem zajęć. Mówiono również o sprawach socjalno-bytowych środowiska studenckiego, o inicjatywach społecznych i kulturalnych. Akcja ta objęła szkoły średnie Nowego i Starego Sącza, Limanowej oraz Gorlic. Maturzyści niewiele wiedzą na temat studiów, więc spotkania te cieszyły się dużym zainteresowaniem młodzieży.

LESŁAW HORWATH

## MIESZCZUCHI!

**B**etonowe wawozy ulic, bunkry, bloki, cherlawe drzewka i wyleńskie trawniczki, asfalt, obcy sobie ludzie — oto współczesne miasto. Jednakowe osiedla, jednakowe mieszkania, jednakowe meble... i my, ludzie, coraz bardziej jednakowi.

Bronimy się przeciw tej unifikacji. Po początkowym zafascynowaniu techniką i cywilizacją wracamy do własnych źródeł; znów tworzymy mikroświaty, mikrośrodowiska, sięgamy ku przedmiotom i obyczajom, które towarzyszyły naszemu dziedzictwu i dziedzictwu naszych ojców. A że polska osobowość tworzyła się w nierozwiniętym związku z dziedzictwem kulturowym wsi — dlatego tak chętnie sięgamy po to, co ludowe — choćby nawet cepelowskie — bo jest rodzime, własne, bliskie.

**C**os się zaczyna zmieniać, choć powoli. Powstają w osiedlach mieszkaniowych centra kultury, mające służyć tworzeniu nowych więzi społecznych, sąsiedzkich, rozwianiu osobowości ludzkiej. Spółdzielczość mieszkaniowa, dziś już prawie monopolista budownictwa mieszkaniowego w miastach, zdolała zgromadzić niemalą armię kadr instruktorów i pracowników swych placówek kulturalno-wychowawczych. Opracowano programy, organizowane są różne szkolenia, wymienne doświadczenia.

Zarząd Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Sączu zaprasza na Ogólnopolskie seminarium pn. „Upowszechnianie tradycji ludowych w osiedlach mieszkaniowych”. Organizatorami seminarium są: Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, Centralny O-

# Dlaczego nieobecni?

Około 1415 roku stanął w Gorlicach obronny dwór Deresława Karwacjana. Od tego czasu różne pełnił funkcje. Był m. in. zbrojem arianskim, zbrojownią, składem różnych rupiec. Podczas I wojny światowej uległ zniszczeniu i jako ruina dotwał do naszych czasów. Odrestaurowany, do 1975 roku pozostawał we władaniu powiatowej poradni kulturalno-oświatowej. Później rozgościł się tu na dobre Miejski Ośrodek Kultury. Kieruje nim mgr Romana Dziubina. Pracuje tutaj zespół recytatorski, taneczny, grupa muzyczna śpiewająca poezję. Dobrą tradycją stały się ekspozycje malarstwa, grafiki i fotografii. W miarę skromnych możliwości organizowane są kursy tańca.

Istotnym mankamentem jest mała powierzchnia, która nie pozwala na organizowanie imprez większych. Korzysta więc ośrodek z gościnnych sal Miejskiej Biblioteki Publicznej, współpracując z zakładowymi domami kultury.

Jedna sprawa wszakże zastanawia. Otóż nie wydaje mi się, by Gorlice by-

ły kulturalnie nie rozbudzone. A jednak na ciekawych koncertach muzycznych, organizowanych we współpracy z krakowską Akademią Muzyczną można dostrzec przeważnie uczniów tutejszej szkoły muzycznej. Młodzież stanowi też większość widzów podczas spektakli dawanych gościnnie przez Scenę Format krakowskiego MCK. Z jednej strony to dobrze, ale dlatego pełniej nie uczestniczą w tych imprezach ludzie w kwiecie wieku? Czyżby organizowane formy spędzania wolnego czasu nie odpowiadały im?

A może potencjalnym odbiorcom kultury w Gorlicach trzeba pomóc? Może trzeba sprowadzić kilka dobrych programów artystycznych, zadbać o właściwe ich rozpropagowanie oraz przede wszystkim o ich poziom? Wydaje mi się również wart podtrzymania kontakt z uczestnikami odbywających się na terenie miasta w sezonie letnim Akademickich Konfrontacji Twórczych.

L. H.



Od dwudziestu lat statek „Różn” pełni swą służbę na naszym pięknym jeziorze  
Fot. MIECZYSLAW STASZEWSKI



## O sztuce dziedziczenia

Każde pokolenie sądeczan, zakopiąńczyków czy gorliczan szuka swej genealogii, odwołuje się do tych wartości kulturalnych, które są mu ideowo najbliższe i które świadomie dziedziczy. Każdy z nas — kto urodził się na tej ziemi — pragnie poznać jej historię, lata wzołotów i upadków, a tym samym spróbować odpowiedzieć sobie na pytanie: jakie będzie jutro naszego regionu? Ale nie wszyscy dostrzegają mniej efektywne elementy łączące dzisiejszą i dawną Ziemię Sądecką. Pamiętać zaś należy o takich cechach dawnych (a i dzisiejszych także) sądeczan jak: próżność, lekkomyślność, skłonność do pijaństwa i marnotrawstwo. W niejednej zagrodzie trzeźwość była kiedyś oznaką skrytości charakteru. Wychowawca Jagiellonów, Jan Długosz, tak pisał na zamku w Nowym Sączu: „lud wiejski skłonny do pijaństwa, zelżywości i zabójstwa, idzie za zabobonami i gustami, do łupieżstwa również sam skłonny i do wrogości, drapieżny i cudzego łakomy. We wznoszeniu domostwa mało stanowiący, przestaje na nędznych chatach...”

Równocześnie Długosz wyrażał uznanie dla kultury tutejszego ludu, dla umysłowych gorących i niełatwych, dla sądeckiej śmiałości i wierności. Teraźniejszość również nie jest wolna od kontrastów.

Kiedyś czytałem wiersze Eliota o... kotach. Był tam kot pracus, kot leniuch, szuler, bawidamek, magik. Plejada kotów. Były też koty szlachetne, aktywne, ambitne.

Podobnie jest z ludźmi. Obok etatowych cinkielarzy z „Kasprowego” mieszka na naszej ziemi wielu rzetelnych ludzi pracy. W sądeckich ZNTK oprócz pracowników, którzy przez wiele lat nie opuścili żadnej dniówki, a na-

wet jako chorzy odmawiali zwolnienia lekarskiego — jest grupa bumelantów. Z drugiej strony trzeba zauważyć frustracje społeczne, wynikające z nierównego dostępu do pewnych dóbr. Wąska grupa posiada samochody, osobne domy mieszkalne i letniskowe, kolorowe telewizory. Pewne grupy zawodowe i środowiskowe korzystają z łatwiejszego dostępu do dóbr i usług, których nie starcza dla wszystkich. Nauczyciel z technikum i kierownik sklepu meblowego wymieniają między sobą uprzejmości. Ktokolwiek dysponuje posiadanym na rynku dobrem lub usługą (ekspedientka, urzędnik, lekarz, magazynier) może korzystać z udogodnień i poparciu swych klientów. Powyższe zjawiska powodują obniżenie bariery moralnej u człowieka. Jeśli bowiem jakiś rodzaj postępowania nabiera cech trwałych i jest milcząco akceptowany, zaczynamy uważać, że mieści się w społecznej normie etycznej. Stąd też m. in. bierze się sobiepaństwo kierowników przedsiębiorstw, „słomiany ogień”, brak wytrwałości, niesamodzielność, nieumiejętność konsekwentnego działania.

Dlatego mając na uwadze dobro naszego regionu musimy dokładnie śledzić jego historię (nie oledrukowe wyćinki!), aby ocenić, które przejawy patriotyzmu lokalnego stają się jałowe i pozorowane, a które niosą nowe możliwości rozwoju.

Rzecz w tym, aby pokolenie wstępujące teraz w swoją dojrzałość społeczną i zawodową, przyjęło najwartościowsze cechy swoich przodków. Pogłębiona refleksja nad sprawą stosunku do tradycji, nad trudną przecież sztuką dziedziczenia jest bardzo istotnym elementem świadomości ludzi, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, gdy życie z taką niecierpliwością stawia przed nami coraz to nowe i trudniejsze problemy.

Wiele zmieniło się w ostatnich pięciu, dziesięciu latach w Nowym Sączu, Gorlicach, Nowym Targu, inne oblicze prezentują podhalańskie wioski. Rozwój tej ziemi nabrał realnego rozmachu. Jeszcze więcej zmienić się powinno. Rosną też nasze wymagania. Przypomina się myśl Adama Mickiewicza, wyrażona w 1843 r., że przeszłość nieustannie poprzez teraźniejszość styka się z przyszłością. Tak właśnie odebrałem moralne przesłanie dyskusji o sztuce dziedziczenia.

JERZY LEŚNIAK

student Uniwersytetu Jagiellońskiego



Krynica i Muszyna zaopatrują się w warzywa w Powroźniku. Duży kompleks szklarni, należący do zespołu czterech rolników, kierowany przez Wojciecha Szarotę, jest jednym z przodujących gospodarstw zespołowych.

Fot. STANISŁAW SMIERCIAK

# SZUKA OJCOWIZNY

środek Metodyki Upowszechniania Kultury, przy współudziale Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej i Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Nowym Sączu.”

Zalążony program pozwala mieć nadzieję na zapoznanie się z interesującą przejawami życia kulturalnego naszego regionu, ale rodzi też pewne wątpliwości. Czy, na przykład, referat pt. „Obraz etnograficzny gór polskich” rzeczywiście zainteresuje ludzi, którzy z racji zawodowych zainteresowań szukają raczej informacji o formach i metodach pracy kulturalno-wychowawczej? Czy zaprezentowanie — bardzo dobrych zresztą — zespołów folklorystycznych przyczyni się w jakiś sposób do rozwoju podobnych zespołów w innych regionach kraju? Czy w ogóle województwo nowosądeckie, przebogate w ciagle żywy folklor może być wzorem dla tych ziem, które

swoją folklor znają już jedynie ze sceny?

Te moje wątpliwości i refleksje potwierdziły się w rozmowach z uczestnikami i organizatorami seminarium. Jeśli nowosądeckie seminarium było piątnym z całego cyklu, jeśli dom kultury Nowosądeckiej Spółdzielni Mieszkaniowej ma być ośrodkiem wzorcowym dla dalszej pracy w kierunku „upowszechniania (tradycji ludowych), jak to sformulowano w zaproszeniu, to chyba warto przemysleć, w jaki sposób prezentować folklor, aby ta prezentacja mogła stać się rzeczywiście inspiracją dla instruktorów. Bo na tym pierwszym spotkaniu, niestety, odbierało go biernie. Poza paroma — dosłownie — osobami nie kwapiono się do zadawania pytań, do szukania odpowiedzi „jak to robić”. Odnosiło się wrażenie, że uczestnicy seminarium są przytłoczeni i rozbrojeni świadomością,

że u siebie takich efektów pracy mieć nie mogą. Znamienne dla tej postawy była dyskusja w ostatnim dniu imprezy, kiedy to uczestnicy nawet żywo debatowali, ale... o rozmaitych problemach z zakresu organizacji swej pracy w ogóle, mało natomiast o tym, co im Nowosądeckie zaprezentowało. Jedynie wizyta w Paszynie wywołała natychmiastowe komentarze, jednak nie tyle o samym „fenomenie paszyńskim”, ile o nierozwiązanej do dziś sprawie lokalu dla tamtejszych zbiorów.

Organizatorzy seminarium przygotowali program naprawdę bogaty — nawet zbyt bogaty jak na dwa i pół dnia. Zaprezentowali różnorodne przejawy kultury ludowej naszego regionu oraz pracy wychowawczej w osiedlach mieszkaniowych województwa. Było wiedzianisko skansenu sądeckiego i występy zespołów amator-

skich, prezentacja rzeźby i malarstwa, oględziny „wioski indiańskiej” na osiedlu „Millenium” w Nowym Sączu i przedstawienie bogactwa form pracy z młodzieżą w Nowym Targu oraz kilka interesujących wykładów.

Niezaprzeczalne korzyści seminarium były — moim zdaniem — dwie: zapoznanie ludzi z całego kraju z naszą ziemią (bo, jak się okazało, wielu z nich nigdy tu nie było) oraz uświadomienie tym pracownikom i działaczom kultury, że ich wielkim zadaniem i powinnością jest poszukiwanie i utrwalanie wszelkich istniejących jeszcze przejawów szeroko rozumianego folkloru. Są to, jak sądzę, korzyści na tyle istotne, że warto takie spotkania nadal organizować, by milej i bardziej swojsko było w naszych osiedlach i domach, byśmy się w nich czuli naprawdę u siebie.

(E. G.)

Stanisław Momot

**MALI LUDZIE**

Michał Słowik — Dzwon

**DUNAJEC**

Dunajcu! pocoz bystremi wodami uciekos w równinę,  
Jak byś kciol opuścić Pięńską Krainę?  
Cy ci tu jest smutno, cy ci tu źle z nami?  
Moze sie naskięmi nudzis Pięninami?

.....nie odłaż i nie bydź taki rący.

Bo chociez twój bystry prąd, nieroz z nami sie powadzi,  
Ale my cie radzi... po set... po tisiąc kroć radzi,  
Bo, ty na swych falach niesies, te pieninskie łodzie,  
Wtore flisak wydlubol w hruby jedli kłodzie,  
Na ni wiezie krocie podziwu, na patrzącyw oczach  
Po wyrchaw i skalicach, zielonych ubocach...

Pokazujes piykność rodzinnego kraju

Tę cąstkę cudu, wykrojoną z raju

I podarowaną ludzkiemu padolu,

Wyrzniętą potami wieków, twoich wód mozolu.

...W dzień w twych wodach pluskają pstrągi, brzany, jelce,

A w nocy piorą łachy boginki, kąpią sie topielce

.....w poświęacie srybelnego miesiāca.

Chodok pławi konia i wesolo śpiywo,

Dziopię bierze wodę i nogi obmywo,

Jeleń mocy raci... a ryś wody chlabnie.

Patrz!... jak tu cudnie, jak tu zgrabnie!

W Pięninach kozdy rozkocho serce, rozraduje dusę

.....nie odłaż, przecież mie usluchoj.

...Musę...

Bo bieg casu mijo... a jo idę z biegię,

Ale wrócę chmurą z descę i nad Tatry ze śniegię,

I znowu będę młody... po set... po tisiąc kroć młody siuhaj.

Choć sie rodzę w Tatrach, a żenię sie w Wiśle,

Zawse o carownych Pięninach se myślę.

Jo sie w ich zieleni, bjeli zalubiłem

I pod Sokolicą serce utopilem...

...Zeby nie Dunajec, Pięnin by nie było,

Zeby nie Pięnin, ani by sie śniło

O Dunajcu śpiywać... pastyrzowi i mnie.

Jak umiemy, ta śpiywamy — swojsko — prosto — skromnie.

**Jak stracić nadwagę?**

Rozmowa ze sprzedawcą — 1200 kalorii



Rozmowa z szefem — 800 kalorii



Uzyskanie delegacji — 700 kalorii



Wizyta u fryzjera — 400 kalorii



Rozmowa z synem — 600 kalorii

„KROKODIL”





**DZIWNE ZAISTE PANUJĄ STOSUNKI** w gimnazjum tutejszem. Nie dawno jeszcze, kiedy dr Klemensiewicz był dyrektorem zakładu, liczyło gimnazjum przeszło 500 uczniów, a mimo to młodzież odnosiła z nauki bardzo wielki pożytek, kiedy widzimy ją obecnie pracującą z chlubą na rozmaitych stanowiskach służby społecznej.

Dopiero od czasu, gdy p. Manuel Kiszakiewicz został dyrektorem gimnazjum, liczba uczniów spada, jak po największej cholercie, albowiem w roku 1894 było ich we wszystkich klasach zaledwie 224. Widoczne z tego, że młodzież obwodu sądeckiego uczęszcza do innych gimnazjów, albowiem rodzice stracili zaufanie do naszego ... Jeśli tak dalej pójdzie, to niedługo trzeba będzie zamknąć gimnazjum dla braku uczniów lub uczynić głęboko idące zmiany w personelu nauczycielskim, zaczynając naturalnie ... od głowy.

15 kwietnia 1895 r.

\*

**ZA 13 GODZIN ZE LWOWA DO WIEDNIA.** Od 1 maja br. będą zaprowadzone między Lwowem a Wiedniem tzw. pociągi luksusowe, którymi jazda ze Lwowa do Wiednia i na powrót trwać będzie 13 godzin, a mianowicie ze Lwowa do Krakowa 5 godzin, z Krakowa do Wiednia 8 godzin, to jest z niebywałą w Austrii szybkością, bo 13 mil to jest 85 kilometrów na godzinę. Zatrzymywać się będą tylko na stacjach najważniejszych.

1 maja 1895 r.

**DLA NOWEGO SĄCZA SPRAWA ŻYWOTNA.** W czasie pożaru w 1894 r. spalił się w Nowym Sączu ratusz położony wśród rynku. Ponieważ zwaliska spalonego ratusza zostały przeznaczone na zdemolowanie, spodziewało się obywatelstwo miasta naszego, że i tak dość szczupły rynek nie będzie zabudowany, przez co utworzy się w środku miasta dzielnica zdrowa, przewiewna, o pięknej perspektywie.

Nikt też nie przypuszczał, aby nowy ratusz miał być stawiany w środku rynku, zwłaszcza, iż gmina posiada place inne, nadzwyczaj piękne i obszerne, a w śródmieściu położone (np. targowicę drzewną przy gimnazjum). Mimo to wbrew zasadom nowożytnej techniki i wbrew przepisom higieny, Rada miasta N. Sącza postanowiła w samym środku rynku wnieść ratusz, jak na nasze stosunki kolosalnych rozmiarów, przeciw czemu dla następujących okoliczności zaprotestować musimy: Czy gmach postawiony wśród rynku, stwarzający duszną atmosferę, tamujący zbiwienny przepływ wiatru, odbierający obszerny i wesół widok mieszkańcom rynku, korzystny ma wywrzeć wpływ pod względem zdrowotnym?

Miasto nasze ubogie, zadłużone, bez żadnego przemysłu większego, zatem dobra gospodarka nigdy nie zaleca rzeczy zbytekownych, na jakie kusić się mogą stołeczne miasta. Pamiętać należy o przysłowiu: według stanu grobla. Wprawdzie budowa ratusza już rozpoczęta została, nic to jednak nie przeszkadza, aby głos pomnożonej liczby obywateli, których żaden z p.p. radnych nie zapytał o zdanie w tak ważnej

sprawie, pozostał na wieczne czasy dokumentem publicznym, któryby świadczył przyszłym pokoleniom, iż żyli wówczas ludzie zdrowo myślący i prawdziwie dla gminy życzliwi — lecz tych starano się unikać, szczególnie w takich razach, gdy szło o nakładanie zbytekownych i niepotrzebnych ciężarów.

1 czerwca 1895 r.

**GDZIE JEST PRZEWODNICZĄCEK?** Rady Szkolnej miejscowej nowosądeckiej? Tą drogą zawiadamiają owego pana zainteresowani rodzice, że przy starej szkole brak studni, skutkiem czego, spragnione dzieci jedzą śnieg w zimie — a obecnie muszą pić wodę na zapas z obcych studzien zbieraną. Coś podobnego uchodzić może tylko w... Nowym Sączu.

**CESARZOWA AUSTRYACKA PRZYBĘDZIE** w tym roku do Bardyjowa, miejscowości kąpielowej obok Krynicy. O wycieczce cesarzowej do Krynicy będzie mogła być mowa dopiero w lipcu, jeżeli pogoda sprzyjać będzie, a drogi przez góry między Bardyjowem a Krynicą będą w dobrym stanie.

15 czerwca 1895 r.

**W MIASTECZKU PIWNICZNA** wędzie w życie z dniem 1 marca szkoła 3-klasowa. Ciekawa rzecz, dlaczego miasteczko to, które pod względem liczby mieszkańców stoi niemal na równi ze Starym Sączem, a przewyższa o 1 tysiąc ludność Muszyny, miało zaledwie szkołę 2-klasową, gdy w Muszynie od kilku lat jest szkoła czteroletnia, a w Starym Sączu pięcioletnia.

15 sierpnia 1895 r.

**NA PRZEDMIEŚCIU PIWNICZNEJ** mieszkał niejaki Szymański, żyjący z utrzymywania furmanek. Nocą pewnej niedzieli nie było go w domu. Pozostała tylko sama żona, Karolina, a przy koniach przebywał parobek. Wtem kobieta się budzi i słyszy jakiś dziwny ruch w podwórzu. Zmiarkowała, że coś niedobrego się dzieje. Odziewa się tedy pośpiesznie i wychodzi na dwór. A tu złodzieje parę koni wyprowadzili i dosiadłszy ich, już umykają. Szymańska wybiegła do stajni po parobka, a ten śpi jak zabity i dobudzić go nie sposób, bo pijany. Niedługo myśląc Szymańska złapała kiją, wsiadła na konia i pędzi za złodziejem drogą do Starego Sącza. Galopowała widać dobrze, bo dopadła złodzieja i jednego kropnęła tego kijem przez łeb. Nie wiadomo co by się dalej stało, bo niełatwo jednej kobiecie z dwoma chłopami walczyć, ale na szczęście drogą jechały furmanki, złodzieje więc nie mieli śmiałości potykać się z kobietą. Zesko, czyli z koni i korzystając z ciemności nocnej drapnęli piechotą. Szymańska zaś w trzy konie wróciła do domu.

15 lutego 1897 r.

Wybrał z „Mieszczanina”  
JERZY LESNIAK



Rys. J. GLISZCZYŃSKI



Rys. RYSZARD ZBOROWSKI

...Najwięcej szans mają palacze...

Irena Styczyńska

# MIASTO MOJEGO DZIECIŃSTWA



Repr. JOANNA GAJDA

Wiele nowości spadło na mnie z chwilą zamieszkania w Nowym Sączu. Na Przetakówce, przedmieściu, którego główną osią była ul. Kraszewskiego, pomiędzy mostami na rzece Kamienicy, zajmowaliśmy dwa pokoje z kuchnią najpierw w siedem osób, później w dziewięć — wszelkie „wygody” poza mieszkaniem. Parterowe domy, częściej drewniane niż murowane, zamieszkiwali drobni urzędnicy magistracy, listonosz, policjanci, rzemieślnicy: bednarz, farbciarz, szewcy, robotnicy z warsztatów kolejowych. Najokazalszym budynkiem tej dzielnicy był szpital żydowski.

W owych latach trzydziestych ul. Kraszewskiego była wybitną bitą drogą z dwoma rowami-rznsztokami. Podglądałam ciekawe życie tej ulicy. Jednym z pierwszych zdarzeń, które wywarły na mnie wielkie wrażenie, było spotkanie z Cyganem, prowadzącym na rzemieniu niedźwiedzia: po otrzymaniu drobnego datku pobrzękiwał na tamburynie, co dla niedźwiedzia było hasłem do tanecznych podrygiwań. Cóż to było dla nas, dzieci, za widowisko!

Ulicą naszą często przechodzili druciarze, a swoim donośnym „garnki drutooooo...” przyciągali klientów, którzy spieszyli z pękniętymi kamiennymi czy glinianymi naczyńkami do naprawy. Druciarze cały swój warsztat pracy — zwoje drutu i cęgi — nosili w drewnianej skrzynce na plecach, a podawane im do drutowania garnki wprost na ulicy naprawiali. Zjawiali się też sprzedawcy węgla drzewnego, niezbędnego do żelazek. Żelazka elektryczne nie były jeszcze w powszechnym użytku.

Od czasu do czasu naszerzował ulicą doboz miejski i mocno palczkami w bęben uderzając przywoływał mieszkańców, by im rozporządzenia burmistrza oznajmiać.

Co rano przechodził ulicą piekarczyk, niosący na głowie dużą lubianą opalkę pełną świeżych rogali i bułek, i nawoływaniem „świeże bułeczki”, wielokrotnie powtarzanym, zachęcał do zakupu.

Jeden z końców ul. Kraszewskiego, łączącej się z ul. Tarnowską, zamykała wielka, parterowa i w ziemię wpadnięta karczma. Biegało się tam po rum do piczenia paczków nieodzowny. Wielka izba z długimi stołami i ławami, szynkas blachą obity, do którego przytwierdzono na łańcuszku cynowe naczynia — miarki, i brodaty Żyd karczarz za kontuarem — ten obraz mocno się odbił w pamięci.

Spory plac przed karczmą był składowiskiem kamienia niezbędnego dla naprawy miejskich dróg. Był to kamień dunajcowy, ręcznie zbierany, a także ręcznie tłuczony. Przy pryzmach tego kamienia widzieli się przeważnie Cyganów, a także tych mężczyzn, którzy innej pracy nie znajdowali, zaś w letnich miesiącach i studentów zarabiających na następnych rok nauki.

Bardzo blisko naszego domu było ujście Kamienicy do Dunajca. Dochodziło się tam na wprost półną drogą, przy której wczorasz dwa domy jedynie stały. Obok domów czółna drewniane, dłubane z jednego pnia topoli czy wierzy, i rozpostarte suszace się sieci mówiły o zawodzie mieszkańców tych domostw. A ryb wtedy w Dunaju nie brakowało. Dziś się ta ulica nazywa się Rybacka, choć już nikt czółnem i siecią na Dunaju nie rybaczy.

Późną wiosną, kiedy Dunajec toczył już spokojniejsze wody, i latem spływały w dół rzeki tratwy, na przodzie pierwszej z nich flisak rudlem nadawał kierunek spławowi. Na tej tratwie-przewodnicze znajdował się szalaz z gałęzi, tliło się ognisko. Dla odpowiedzialny przybijał flisacy do brzegów Dunajca poniżej ujścia Kamienicy. Wchodziliśmy na tratwę, ciekawo życia tych ludzi.

Na Przetakówce mieszkało sporo Żydów, którzy wyraźnie odcinali się wyglądem i sposobem bycia. Nas, dzieci, szczególnie interesowała szkoła żydowska — hajder. Przeglądaliśmy się przez ogrodzenie zabawom i nauce naszych rówieśników.

Moja droga do szkoły wiodła przez most na Kamienicy. Tuż za mostem, po prawej stronie, był spory plac. W dzień targowe zmieniał się on w targowisko, gdzie towary kupowało się wprost z wozów. Wjeżdżający wozem konnym w dzień targowe do miasta musieli na rogatkach uiścić opłatę zwaną „kopytkowym” — rekompensatą za zanieczyszczenie miasta.

Idąc dalej ku ul. Jagiellońskiej, przy której mieściła się moja szkoła, mijaliśmy rynek z Ratuszem, jakże inny w różnych dniach tygodnia. Wyłożony dunajcowymi otoczkami, był głównym placem handlowym miasta. We wtorki i piątki zapelniał się tłumem sprzedających i kupujących, a dla każdego rodzaju towarów było specjalne stałe miejsce. Za Ratuszem stawały

wozy konne, z których wynoszono owoce i warzywa w północno-wschodni narożnik rynku. Zboże i nasiona sprzedawano po prawej stronie wejścia do Ratusza. Narożnik południowo-wschodni zajmowały kramy z towarami blawatnymi, przy których kupcy głośno zachwalali wieśniaczkom kolorowe chusty i płótna „fərbówki” na roboczy przyodziewek. Gospodarze nabywali tutaj ubrania z caju i odświeżone piśniewe kapełuszki. Tutaj też starsządecy szewcy prezentowali ra wysokich kozłach zawieszono buty — dla kobiet wysoko sznurowane, dla mężczyzn cholewy. Byli tu też siodlarze i rymarze z kófskimi uprzężami, kołodzieje z drewnianymi częściami do konnych wozów. O cenę trzeba było koniecznie targować się, a im bliżej końca dnia targowego, tym niżej spadały ceny za ten sam towar.

Poczesne — na samym froncie rynku — miejsce zajmowały przenośne szklane gabloty, w których oczekiwano na kupujących najróżniejsze wyroby mięsne. Obok, na piecykach węglem drzewnym opalonych, stawiano patelnie, a grzane kiszki kaszane, apetyczną woń rozciągające, ściągaly zgłodniałych.

W tej frontowej części rynku rozkładali swoje wyroby także starsządecy garnarze. Gliniane, wypalane garnki, przyciągały wzrok kolorowymi ornamentami i polewami.

Między targowym tłumem przechodzili pośledniejsi handlarze, noszący w płaskim drewnianym pudle podtrzymywanym rzemieniem przez kark przerzuconym, cały swój „kram” ze sznurowadłami, pastą do obuwia, nici. Byli to zwykle inwalidzi wojenni.

W pamięci utrwalił mi się także obraz inny: na placie rozesłanej przy północnej pierzei rynku swoimi cyrkowymi sztuczkami popisująca się para młodych „ludzi z gumy”. Przy tych ekwilibrystycznych ćwiczeniach-sztuczkach akompaniował na skrzypcach stary człowiek, zbierający także datki od widzów.

Jeszcze inaczej wyglądał Rynek w okresie przedwójgijimym. Przez kilka dni wzdłuż wschodniej i południowej jego strony handlowano rybami znajdującymi się w wielkich kadziach, baliach, cebrach.

Już zaczynały pokazywać się na ulicach miasta motocykle i samochody, choć początkowo przyjmowano je bardzo źle. W mojej rodzinnej wsi, gdy w 1932 r. przejechał pierwszy motocykl, ludzie krzykali: „diabeł jedzie, diabeł jedzie”. W owym czasie, gdy głównym pojazdem drogowym był zaprzęg konny, zjawienie się na drodze samochodu czy motocykla wywoływało zamęt niesłychany. Konie wierzgały, ponosiły, stawały się niebezpieczne.

Bardzo często na ulicach naszego miasta spotykało się jeszcze wówczas — zaprzężone w woły czy krowy — wozy Łemków, ubranych w brązowe samodziłowe ubrania i kierzce, wiozące drewno opałowe na sprzedaż.

Nad placem targowym królował Ratusz — siedziba burmistrza. Na wieży ratuszowej pełniona była przez strażaków ogniowych nieustanna warta. Strażak, przechadzający się gankiem obiegającym wieżę, miał z tej wysokości szerokie pole widzenia. A w piwnicach Ratusza mieściło się miejskie więzienie. Nisko umieszczone okna pozwalały przechodniom widzieć wnętrza cel.

Kiedy zbliżał się piątkowy wieczór, charakterystyczny zgrzyt blaszanych, falistych żaluzji sklepowych ogłaszał, iż zaczyna się szabas — żydowski cotygodniowe święto. Zamierał wówczas prawie cały handel; sklepy i warsztaty rzemieślnicze prowadzone przez katolików były bowiem nieliczne.

Utrwalała mi się również w pamięci inna scena. wielki wiec ludowców w Zielone Święta 1939 r., mimo ulewnej deszczu pod budynkiem starostwa się odbywający.

Pierwszy pochód 1-Majowy zobaczyłam w naszym mieście także w 1939. Może nie byłabym zwróciła uwagi na wyłaniający się z ul. Nawojowskiej tłum z niesionym na przedzie czerwonym sztandarem, gdyby nie zmieszanie mojej gimnazjalnej koleżanki, która w pierwszym rzędzie demonstrantów dostrzegła swoją babcię...

Koniec sierpnia 1939 r. Mundurek już przygotowany na rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Wszyscy mówią o wojnie. Ulicami miasta ciągną ku wschodowi uciekinierzy z Nowotarskiego, pędząc przy wozach bydło. Drogi zatłoczone, dezorientacja, strach. Na wojenną wędrowkę wyruszają moi bracia, jeden w poszukiwaniu oddziału wojskowego, młodszy, 14-letni, w obawie przed wrogiem, który — jak słychać — więzi chłopców i mężczyzn.

Niemcy wjeżdżają do naszego miasta samochodami pancernymi i czołgami — to pierwsze takie maszyny widziane przeze mnie. Moje dzieciństwo kończyło się...

Jerzy Masior

## Podróż sentymentalna

Kilka błękitów w życiorysie,  
kilka wieczorów których żal  
i jeden ogród, który śni się  
i takie śmieszne słowo: dal.

W sentymentalną podróż ruszam —  
myślę, że czas już i że świat  
jakoś mi zmalał i przyproszył  
kołowrót godzin szyłem lat.

Cóż mi dziś powie moja pamięć,  
nie w horoskopach znajduję ślad —  
na błękit powiem zawsze — błękit,  
a na kwiat powiem, tylko kwiat.

Kilka błękitów w życiorysie,  
spalone listy — pogrzeb słów  
i pewnie braknie w moim spisie  
kilku kolorów, kilku snów.

Khor Al Zubair — Iran — 9. IV. 1980 r.

Franciszek Łojas-Kośla

## Kaplicka

Przed moim chałupom kaplicka  
na słupie do ziemi węgkniętym.  
Dziadkwo rzeźbił ręką  
rok na niej trzydziesty dziewięty.  
Na tyj kaplice Chrystus,  
pod Nim Matka u krzyża  
strzyc miała naszy strzechy,  
lagodzić smutek w zgrzyzak.  
Po bokak kaplicki rosty  
sturocnie lipy dorodne,  
cinyliły ogień słonka  
w prażliwie dni pogodne.  
Dziadek hań zachodziel,  
klabuk w gorczy trzymol,  
z tyj maty kaplickoski  
Chrystus do niego nizol.  
Nie wiem, co gwarzyli  
w cas jedyn wyznacony,  
zawse odchodzil jeno  
jakisi uciasony.  
Cas rokami przeszed...  
Dziadek tyz pomimon,  
ino kaplicka ostala  
za jego to przycnono.

Urodziłem się 30 października 1946 roku w Poroninie. Po ukończeniu szkoły podstawowej poświęciłem się pracy na gospodarstwie i gadzuję do chwili obecnej. Od 15-ego roku życia wyzwoilił się we mnie kierunek wyrażania myśli za pomocą pióra. Piszę wiersze, opowiadania, ballady, poematy i sztuki sceniczne, głównie gwara podhalańska.

Opublikowałem ponad sto utworów w czasopiśmie regionalnych oraz centralnych, a także w V tomie antologii poezji chłopiejskiej.

Moje wiersze były 5-krotnie wyróżniane na konkursach poetyckich i emitowane na antenie Polskiego Radia.

Jestem członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych, Klubu Literackiego i Związku Podhalań w Zakopanem oraz długoletnim opiekunem społecznym.

F. ŁOJAS-KOŚLA

Bałam się tego wyjazdu. Czy potrafię spokojnie patrzeć na dzieci upośledzone, ułomne, skazane na egzystencję tylko na wół ludzką? Pojechałam jednak do Kobylanki. A po kilku godzinach pobytu w Zakładzie Wychowawczym im. Marii Grzegorzewskiej przekonałam się, że lęk mój był bezpodstawny. Wraciałam do Sącza z zupełnie innymi wrażeniami: z poczuciem, że poznałam piękną, choć trudną i gorzką, sprawę walki o człowieczeństwo i wspólnych ludzi, którzy się tej sprawie poświęcili.

W Kobylance znajduje się Zakład dla dzieci-inwalidów poszkodowanych bodaj najbardziej okrutnie, bo umyślowo. Choć — o, paradoksy! — okrucieństwo to najmniej odczuwają one same. Te dzieci nie są świadome swego kalectwa. Zadbane, otoczone troską i miłością, są zadowolone z życia, o ile w ogóle potrafią zadowolenie odczuwać na ludzką miarę; na ogół nie są zdolne do wartościowania. Oficjalnie zaszeregowane do grupy upośledzonych w stopniu „umiarkowanym” i „znaczny”, rzadko osiągają poziom rozwoju dziecka kilkuletniego — na ogół przedszkolak ze starszej grupy to przy nich geniusz, choć wychowankowie Kobylanki liczą sobie i po 18—20 lat. W dodatku ich rozwój przebiega nierównomiernie. Są jednak istotami ludzkimi, żyją, są przez kogoś kochane, są często komuś zwyczajnie potrzebne — i trzeba uczynić wszystko, by jak najlepiej przysposobić je do, choćby względnej, samodzielności.

Zakład w Kobylance to tak zwana „szkoła życia”. Pierwsza utworzona w województwie nowosądeckim; wkrótce po reformie administracyjnej, już w 1976 roku. W ogóle w Polsce zakłady takie zaczęły powstawać dopiero przed niespełną dwadzieścia laty, niejednokrotnie tworzone jedynie odrębne klasy w „normalnych” szkołach, ale raczej tylko dla dzieci o wyższym ilorazie inteligencji, zdolnych do pełnej samodzielności, do opanowania wiedzy z zakresu szkoły podstawowej oraz umiejętności zawodowych. Pedagodzy twierdzą, że z czasem (około 24—25 roku życia) zaciera się różnica i młodzież lekko upośledzona wtapia się w środo-

Elżbieta Glinka

# Szkoła życia

wisko. Inaczej jednak przedstawia się sprawa dzieci takich, jak te w Kobylance. Tu rzeczywiście trzeba użyć życia; podstawowych czynności fizjologicznych, rozumienia podstawowych pojęć, reagowania na polecenia, a jeśli się da — mowy, pisma i najprostszych prac porządkowych lub zawodowych. Te dzieci — teoretycznie — są w stanie opanować do 200 słów w mowie i piśmie, ale tylko w wyniku wyczerpanej pracy indywidualnej z nimi. Praktycznie sukcesem jest już często wyczerpanie podpisu, adresu.

Nauka w Zakładzie jest dzielona na trzy poziomy (nie „klasy”), w których podstawowymi „przedmiotami” są: samoobsługa (a więc umiejętność umycia się, ubrania, sprzątnięcia, przygotowania najprostszego posiłku), zaradność wiążąca się ściśle z samoobsługą, ale wymagająca już pewnej, nazwijmy to tak w braku innego słowa, inteligencji, oraz **wychowanie muzyczne i rytmika**, jakże jednak inne niż w zwykłej szkole. **Przysposobienie do pracy**, zajęcia praktyczno-techniczne, gotowanie, podstawowe prace rolnicze — to formy przystosowania tych ludzi do życia w społeczeństwie, znalezienia im miejsca w życiu, choćby namiastki przydatności społecznej i choćby... na okres kiedy jeszcze nie nastąpi regres w ich rozwoju, spowodowany chorobą. Prowadzi się też systematyczne, uporczywe, zajęcia służące rozwinięciu ich sprawności ruchowej, oddechowej, ćwiczenia logopedyczne. W formie pół-zabawy, z

ogromną cierpliwością, stosując częste przerwy w zajęciach i zmiany metod, bo wychowankowie Zakładu bardzo szybko się męczą, wpajają się im to wszystko, co tylko są zdolne przyswoić.

Z jaką troską, poświęceniem, a zarazem swobodą i naturalnością pracują wychowawcy! Tu nie ma ani jednego nauczyciela „z przypadku” — bo jedynie autentyczny pedagog, pedagog z powołania, może poświęcić się pracy w zakładzie takim jak Kobylanka. Wszyscy — od dyrektora **JANA HALUCHA** poczynając, a na woźnych i kucharkach kończąc, dają z siebie dzieciom wszystko co najcenniejsze. Rozmawiałam z niektórymi z kobylańskich wychowawców. **BARBARA i KRZYSZTOF LIPCZYŃSCY, RYSZARD GLISZA, ZDZISŁAW WYRZYKOWSKI** i inni nie robią z siebie bohaterów, choć nie tają trudności, z jakimi wciąż się borykają. Ale — rzecz znamienita — trudności widzą nie w pracy z młodzieżą, a w rozwiązywaniu problemów typu administracyjnego. Mężczy ich nie upośledzenie dzieci, a ciasnota w salach, brak pracowni przysposobienia zawodowego i pomocy szkolnych, brak sali gimnastycznej, rekreacyjnej, nawet brak sprawnego samochodu. Nie ma Zakład kłopotu ze znalezieniem ludzi chętnych do pracy — ale jak przełamać przepisy i niemoc, jak uzyskać etat lekarza, dentysty, a choćby zweryfikować zakres obowiązków pielęgniarki? Co zrobić, żeby zatrudnić więcej tzw. sił pomocniczych, co po-

zwoliliby na odciążenie pedagogów od prac porządkowych, a tym samym lepsze wykorzystanie ich umiejętności zawodowych? Co wreszcie zrobić, by uzyskać jeszcze kilka, kilkanaście miejsc dla wychowanków, bo w kuratorium leżą dziesiątki podań? Sama byłam świadkiem, jak dyrektor, kierownik internatu i przybyła z Sącza **BARBARA PAWLAK** — wizytator metodyki Kuratorium Oświaty i Wychowania łamał sobie głowę nad problemem nie do rozwiązania: jak zatrzymać wszystkich wychowanków, którym jest to potrzebne, a jednocześnie przyjąć nowych?

Co będzie z tymi, którzy odejdą do rodzinnych domów albo — co gorsza — tych domów nie mają? Co zrobić, aby nie zapomnieli, czego się z takim trudem nauczyli? Ogromnie mało jest możliwości zatrudnienia ich choćby w ramach pracy chałupniczej w spółdzielczości inwalidzkiej; niemal nie ma w województwie oddziałów tzw. pracy chronionej dla najbardziej upośledzonych, zdolnych do wykonywania prac najprostszych, nisko płatnych. Niestety, ciągle brak nam ludzi takich jak prezes gorlickiej spółdzielni inwalidzkiej, **LUDWIK OSIŃSKI**, i jego zastępcę do spraw rehabilitacji, **KRYSTYNA JANIK**, którzy podjęli ryzyko zatrudnienia wychowanków Zakładu w Kobylance, stworzenia tej młodzieży warunków przyznania do pracy.

Dzieci i młodzież z Zakładu czują troskę swych nauczycieli, odwdzięczają się serdecznością i przywiązaniem. Są łase na pochwałę, na pieśczętę, uśmiech. Tego im nikt nie odmawia. Ale wychowawcy nie mogą pozbyć się natrętnych myśli: **co dalej?** Co się stanie z tymi młodymi ludźmi, gdy opuszczą Zakład? Jest to problem ogromnej wagi i nie rozwiąże go praca z rodzinami, służąca przygotowaniu ich do dalszego czuwania nad utrzymaniem osiągniętej przez dziecko sprawności fizycznej i umysłowej. Tu jest niezbędne **kompleksowe współdziałanie** władz oświatowych, administracyjnych, spółdzielczości inwalidzkiej.

Bo — jak powiedział jeden z kobylańskich pedagogów — **nad tymi dziećmi nie należy się litować. Im trzeba pomóc.**



2 marca 1940 r. odbyło się w Warszawie pierwsze posiedzenie „Komisji Obrony Rzeczy”, utworzonej dla „bezwzględnej likwidacji wszelkich objawów buntu i oporu ze strony ludności okupowanych terenów”. Na naradzie, której przewodniczył Hans Frank, omówiono sprawę walki z polskimi ruchami wolnościowymi i ustalono, że przede wszystkim należy permanentnie likwidować inteligencję, jako motor wszelkich ewentualnych poczynań o antyhitlerowskim charakterze.

Pierwszą konsekwencją wspomnianej narady było przeprowadzenie od maja do lipca 1940 r. wielkiej akcji eksterminacyjnej noszącej oficjalną nazwę „Ausserordentliche Befriedigungsaktion”, a określanej skrótem „A-B”. Na terenie dystryktu krakowskiego akcją tą kierował SS Sturmbannführer, dr Ludwig Hahn. W sumie, w skali ogólnokrajowej akcja A-B pochłonęła kilka tysięcy osób, pochodzących z czołówki społeczno-politycznej narodu, aresztowanych według list sporządzonych w latach międzywojennych przez buszujących w Polsce agentów V kolumny.

Wzdłuż południowego pogranicza akcja A-B przebiegała nieco innym trybem niż w głębi kraju. Tu zemsta wroga skoncentrowała się przede wszystkim na uchodźcach aresztowanych w momencie przekraczania granicy.

Jak już wspomniano, akcja A-B miała z góry określoną nazwę. Ale super sadyśta, jakim był szef sądeckiego Gestapo, Heinrich Hamann, musiał i w tym wypadku popisać się swoją „indywidualnością”, nadając jej własny kryptonim: *Generalsnamenstag* — „Imieniny Generała”...

Wiadomości o planowanych „Imieninach” dostarczył podziemiu tłumacz Gestapo, zaprzysiężony członek Związku Czynu Zbrojnego (CZC) — Edmund Hoppe. Było to w piątek, 21 czerwca,

na zapleczu Baru Hanka, przy ul. Jagiellońskiej 50 (dziś sklep tekstylny), gdzie mieściła się sądecka kwatera Komendy Podgórskiego Okręgu ZCZ. Wreczyłem właśnie szefowi Komendy, Antoniemu Gryzina Lasek pocztę od mojego dysponenta konspiracyjnego, majora Antoniego Staraka, prowadzącego z ramienia ZWZ pertraktacje z Laską na temat połączenia obydwu organizacji — gdy do pokoju wpadł Hoppe.

— Panowie — zaczął roztrzęsionym głosem — przynoszę wieści bardzo złe! Hamann szykuje wielką „rozwałkę”, którą ochrzczono w gestapo dwumianem „Imieniny Generała”. Mord ma być wykonany 27 czerwca, jako odwet za przemówienie generała Sikorskiego wygłoszone 25 kwietnia w paryskim radiu oraz za udział żołnierzy polskich w kampanii norweskiej i francuskiej. Z tego też powodu mają śmierć ponieść wszyscy przebywający w więzieniu uchodźcy, aresztowani w drodze na Zachód... Pójdzie około stu ludzi. W tym co najmniej połowa to ofiary zdrady agenta gestapo Adama Chadalskiego, który zdolał ukryć się w szeregach podziemia, przetrzuwając jako przewodnik przez granicę...

Relacje Hoppego potwierdziły grypsy przesłane z więzienia przez Kazimierza Sichrawę z Nowego Sącza i Zbigniewa Langerę ze Zbyszyc, którzy przy pomocy strażników więziennych, Ficowicza i Szasta, za pośrednictwem sióstr, Janiny i Józefy Stefaniszyn, przekazali na miasto bliższe dane na temat zamierzonej masakry, podałem nawet imienne zestawy skazanych na śmierć.

Według relacji Langerę — który miał szczęście wyjść cało z oskarżenia o posiadanie radia i broni — selekcja więźniów została przeprowadzona pod koniec maja. Część skazaną na obóz — wysłano do Tarnowa, skąd 14 czerwca wywieziono ich do Oświęcimia. Prze-

Józef Bieniek

## „IMIENINY

znaczonych na „Imieniny Generała” osadzono w odrębnej części więzienia i otoczono wzmocnioną strażą, której trzon stanowił oddział Schutzpolizei z Salzburga.

Gdzieś na początku III dekady czerwca odbył się „sąd”, a raczej ponura parodia tego, co pod mianem sądu, zwykliśmy rozumieć. Więźniów defilujących przez salę, w której siedział komplet sędziowski złożony z gestapowców i zandarmów, zapytywano tylko o personalia. Jeden z gestapowców odfajkowywał w gotowej liście nazwiska skazańców i na tym ceremonia „sądu” się zakończyła.

Następnego dnia Hamann z Gorką przeszli przez cele skazańców, przy czym Hamann odczytywał wyroki, a Gorka tłumaczył ich treść na język polski. Sentencja wyroku brzmiała: „Za zbrodnię zdrady stanu obywatel ta ci taki został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie...”

Więźniowie przyjęli wyrok spokojnie i z godnością. Tylko w celi nr 14, jeden ze skazanych, prawnik znający język niemiecki, próbował — chyba dla sadyśy przekory — przekonać Hamanna, że oskarżenie o zbrodnię stanu jest w tym wypadku absurdem, ponieważ więźniowie są obywatelami polskimi i jako tacy zamierzali udać się za gra-

nić, aby spełnić swój obowiązek walki o wolność Ojczyzny. Tak, jakby to uczynił w analogicznej sytuacji każdy ucziwy Niemiec...

Replikę prawnika zbył Hamann krótko i wżelowało: — *Halte maul! Polski nie ma i Polaków też nie będzie!!!*

Ponieważ wśród skazanych było kilka osób posiadających nazwiska o brzmieniu niemieckim, względnie urodzonych w Niemczech — dano im szansę: — *Podpiszcie volksliste, zostaniecie zwolnieni!*

Z oferty skorzystał tylko Maks „Weber” — Polak niemieckiego pochodzenia, z Poznania. Natomiast brat jego, oficer marynarki handlowej, Joachim Weber — wolał śmierć niż zdradę. Podobnie postąpił uczeń gimnazjalny Erich Utz z Łodzi oraz Józef Cieślak, syn Polaka i Niemki, urodzony w Mannheim, którego wybuch wojny zastał u rodziwy w Polsce.

O końcowej fazie tego największego w dziejach martyrologii sądeckiej mord — opowiada kurier ze szlaku Nancy Sącz — Budapeszt, Franciszek Musiał z Piwnicznej, który aresztowany na Słowacji 13 czerwca i wydany Niemcom, przebywał właśnie w sądeckim więzieniu.

...26 czerwca, w godzinach popołud-

Lucjan Tumidajewicz

## Bitwa pod Gorlicami



Cmentarz z I wojny światowej na Magurze Małostowskiej

Fot. MIECZYSLAW STASZEWSKI

Kiedy pociąg jadący ze Stróż do Jasła osiągnie wzniesienie na przystanku Szalowa, w odległości kilku kilometrów na północny wschód horyzont zamknie zalesione wzniesienie zwane Pustkami. U stóp tego stromego stoku rozłożyła się zamożna, kulturalna wieś Luźna — siedziba gminy. Wzgórze, oznaczone w sztabowych mapach mocarstw walczących na wschodnim froncie europejskim I wojny światowej liczbą 449, stanowiło ważny klucz rosyjskiej obrony odcinka frontu od Wisły po Małostów. Krwawa ofensywa majowa wojsk austriacko-węgierskich, wsparta utworzoną specjalnie do tego celu 11 armią niemiecką, miała przełamać front na odcinku 35 kilometrów. Centrum natarcia stanowią Gorlice i najbliższe okolice miasta. W składzie trzech armii austriackich znalazła się także 12 dywizja, a w niej dwa pułki złożone wyłącznie z Polaków: 56 p.p. z Wadowic, 100 p.p. z Cieszyńska oraz po jednym batalionie 57 p.p. z Tarnowa i 20 p.p. z Nowego Sącza.

— Jest pan jedynym człowiekiem na tym terenie, który uczestniczył w bitwie pod Gorlicami. Tak, ale jak mnie pan tu znalazł? Tamtymy laty już się nikt nie interesuje!

Pan FRANCISZEK KORDYL urodził się 85 lat temu w Gliniku Mariampolskim. Obłożony książkami i gazetami, a także osobistymi pamiątkami z tamtych lat, rozpoczyna swoją opowieść.

— Wzwalani nas do poboru dwunastego września 1914 roku. Wieczorem wyjechaliśmy pociągiem do Cieszyńska. W Cieszyńcu staliśmy krótko, w jakiejś szkole. Stamtąd zawieźli nas do północnych Czech, gdzie sformowano nasz dziesiąty batalion i zaczęły się ćwiczenia. Starszy mój brat wojował już wtedy jako artylerzysta górski na froncie włoskim. Ja zostałem przydzielony do obsługi karabinu maszynowego.

Na front wyruszyliśmy drugiego marca. Przez Chabówkę i Nowy Sącz do Grybowa, a stamtąd już w szyku marszowym dalej. W Bystrzycy zastaliśmy przygotowane baraki i pomieszczenia dla koni. Kolo kościoła w Szymbarku żołnierze bili betonowe fundamenty pod haubicę 305 mm, z której — jak się po wojnie dowiedziałem — Austriacy zniszczyli wiele gorlickich budynków i kościołów. O kilka kilometrów na północ za górą przebiegał front, ale nas zaraz wyprowadzili na ćwiczenia. Jak nad nami pojawił się rosyjski samolot, a za dwadzieścia

minut zostaliśmy celnie ostrzelani przez ich artylerię, nasi dowódcy dali sobie spokój z ćwiczeniami. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem zabitych i rannych.

Kiedy przeszliśmy do pierwszej linii w Mszance, nie pamiętam dokładnie. Nocą złuzowaliśmy tam węgierskich honwedów. Jeżeli dotąd z jedzeniem było kruczo, to tu już panował głód. Pamiętam nocne wyprawy na ziemniaczysko, do ruin ka:czmy, skąd wygrzebałem parę ziemniaków. W lepszej sytuacji była obsługa koni, mieli przynajmniej nierafinowany cukier z obroku.

Święta Wielkanocne zbiegły się wtedy z prawosławnymi. Było dwudniowe zawieszenie broni. Rosjanie pięknie śpiewali — dobrze ich słyszeliśmy. Jak myśmy zaczęli śpiewać, zaczęli strzelać, ale to było jakieś nieporozumienie. Nasi oficerowie poszli do ich okopów, tamci pokazali im wszystko. Wrócili potem z jednym rosyjskim oficerem, ale do naszych stanowisk go nie wpuścili. Miał pretensje. Mówił po polsku, dobrze słyszałem.

W nocy z pierwszego na drugiego maja podciągnęliśmy stanowisko naszego karabinu maszynowego pod samą szosę w Luźnej. Po drugiej stronie byli już Rosjanie. Strzelać zaczęliśmy o piątej. O szóstej zaczął się huraganowy ogień artyleryjski. To było piekło. Czulem się jak w łódce na pełnym morzu, bo Rosjanie odpowiadali może rzadziej, ale bili celnie w naszą pierwszą linię. Po czterech godzinach nasza artyleria przeniosła ogień na dalsze pozycje rosyjskie. Wtedy poszliśmy do ataku, linie rosyjskie były jak na dłoni.

Ze szturm na Pustki pamiętam, jak akurat przed nas wysłała grupa rosyjskich żołnierzy, było ich ponad stu — przecięli zasieki z drutu kolczastego i oddali się w niewolę. Oni walczyli tu niechętnie, może to zresztą byli także Polacy spod rosyjskiego zaboru? Na Pustkach była walka na bagnety, straszne żniwo artylerii i miotaczy min. Wdziałem w okopie żołnierza bez głowy trzymającego karabin. Szczęśliwi ludzkie zwisające z gałęzi. Na szczytce góry byłśmy o godzinie dwunastej. Pod wieczór osiągnęliśmy Moszczeniec.

Franciszek Kordyl choć do domu miał w prostej linii kilka kilometrów, nie zobaczył się z rodziną. Z batalionem nowosądeckich „cwacyngierów” przeszedł przez Biecz, Jasło, Krosno, Jarosław na przedpola Chelma Lubelskiego. Pamięta wiele mocnych epizodów tamtego marszu, szczególnie w dzień 2 lipca, kiedy przekroczył zaborczą granicę austriacko-rosyjską. 17 lipca został ciężko ranny w ramię. Potem wielomiesięczna tułaczka po szpitalach, wysyłki lekarzy o utrzymanie jego kończyny, wreszcie praca w warsztatach kolejowych na Węgrzech do końca wojny.

A potem Rafineria Nafty w rodzinnym Gliniku, Franciszek Kordyl, kotlarz najwyższej klasy, długoletni radny, odchodził na emeryturę w 1960 r.

— Niedługo od mojego domu na największym tutejszym cmentarzu wojennym w Sekowej leży 1206 żołnierzy, na Pustkach tylko o pięciu mniej, na Górze Cmentarnej, którą też widano z moich okien — ponad 800. Wszystkich pochowano w zaborczych mundurach. A ilu wśród nich Polaków?

# GENERALA

niowych, wywołano z cel 30. więźniów, załadowano na samochód i powieziono w kierunku Limanowej. Kilka kilometrów za miastem, w Trzetrzewinie, obok leśnej dróżki, samochód się zatrzymał. Spędzono nas z wozu, dano opaty i pognano w głąb lasu. Tu, na mołach polankach, jeden z gestapowców odmierzył krokami trzy duże prostokąty i kazał kopać. Inni stali dookoła, z bronią gotową do strzału.

Było to — kończy Musiał — najtrudniejsze z wielu moich przeżyć. Miałem przecież absolutną pewność, że kopię grób dla siebie. Poruszałem sztywniejącymi ze zgrozy rękami jak manekini, wyczekując napiętymi do kresu wytrzymałości nerwami, kiedy padną strzały.

Ale Musiałowi sędzone było przeżyć więzienie i pięć lat obozu. Mogiły przznaczone były na... „Imieniny Generala”. Rankiem następnego dnia przywieziono tu w trzech partiach 93 więźniów i zamordowano, strzelając na oślep z broni maszynowej.

Wśród ofiar znalazło się: 76 uchodźców pochodzących niemal ze wszystkich większych miast w Polsce, organizatorów komórki przerzutowej w Biegonicach — por. Stanisław Pajor i dr fil. Władysław Witowski, 5 harcerzy, członków „Białego Orła” i 10 mieszkań-

ców różnych miejscowości ziemi sądeckiej, aresztowanych za posiadanie broni lub radia, względnie za inne przestępstwa.

Podobne egzekucje odbyły się 5 lipca na wzgórzu „Gruszka”, koło Tarnawy, gdzie sanockie gestapo zamordowało 118 więźniów, i 6 lipca w lesie „Siekłówka”, na skraju wsi Warczyce, gdzie jasielscy oprawcy rozstrzelali 87 osób. W obydwu wypadkach byli to niemal sami uchodźcy — inteligencja wojskowa i cywilna.

W końcu dwie uwagi pod adresem ZBoWiD oraz Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. Po wlokących się latami sporach i dyskusjach, miejsce trzetrzewińskiej kaźni zostało uporządkowane i upamiętnione w najbardziej godny sposób. Niepotrzebnie tylko wypaprał ktoś granitowym obeliskiem zielonym lakierem, niszcząc surowe piękno kamienia.

I sprawa druga: na jednym z krzyżów pozostawiono starą tablicę, na której widnieje tylko 16 nazwisk pomordowanych, w tym kilka błędnie zapisanych lub z niewłaściwymi imionami. Należałoby więc dać nową tablicę (odlew lub marmur) z pełną listą ofiar, która znajduje się w zbiorach autora niniejszego artykułu i jest do wykorzystania w każdej chwili.



Obelisk na miejscu kaźni

Fot. E. BIENIEK

## ◆ DAĆ W KOŚC KLIENTOWI.

Metoda jest następująca: kiedy potrzebujesz zatelefonować do Warszawy lub Krakowa — a nie znasz właściwego numeru — informacja międzymiastowa w Nowym Sączu odsyła cię z niczym, radząc byś połączył się z informacją w Krakowie czy Warszawie. Dodzwonić się tam z kolei nie można, więc ludzie pomstują, podejrzewając panią z międzymiastowej w Sączu o zwykłe lenistwo, bądź też zarzucają niedbalstwo kierownictwu telekomunikacji, które powinno wyposażyć centralę w wojewódzkim i turystycznym przeciętym w komplet książek telefonicznych.

Być może jedni i drudzy podejrzliwy są w błędzie. W tym szaleństwie jest bowiem metoda: jeśli klienta odeśle się po informację do Warszawy, to podwojeniu ulegają obroty finansowe firmy w „usługach”. Zapłacisz najpierw za uzyskanie informacji, a następnie za właściwą rozmowę. Wymyślił to pewnie jakiś genialny ekonomista prowincjonalny, którego nie obchodziła strata społecznego czasu, dodatkowe blokowanie przeciążonych linii i wściekłość klientów. Partykularne kłapki na oczach pozwalają mu widzieć jedynie łatwy zmasz osiągnąć kosztem niewygodny społeczeństwu.

Wiedząc o tym wszystkim, musiałem jednak skorzystać ostatnio z pomocy sądeckiej międzymiastowej. Helikopter wiozł ciężko chorego i należało zaalarmować odpowiedniego specjalistę. Bez skrupułów przedstawiłem się więc jako dziennikarz na służbie i poprosiłem, by pani z międzymiastowej zechciała w sytuacji niecierpiącej zwłoki sięgnąć po krakowską książkę telefoniczną. Pani nie zechciała, a także odmówiła ujawnienia swego nazwiska. Ustalił je dopiero nacelnik Rochel.

Pytanie brzmi: kiedy sądecka informacja zacnie po ludzku pracować? Kto ukróci sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem praktykę odsyłania klientów na przeciążone numery informacji w dużych miastach? Dlaczego zlekceważono dotychczasową krytykę prasową w tej sprawie?

◆ LIST Z WARSZAWY. W teatrze na Targówku wyreżyserowałem własnie swoją sztukę „Karawana”. Zapraszam na premierę. Radość z dobrych recenzji maci świadomość, że



w Sączu rzucano mi klody pod nogi: wyjechał mogłem tylko w ramach ulopu. Pozdrawiam — Andrzej Górszczyk.

Rozmowa z Górszczykiem po powrocie:

— Jesteś podobno w zwarciu ze swoim szefem...

— Będę, jeśli odpowiem na takie pytanie!

— Plotka niesie, że po tygodniu pracy w błocie i śniegu na Hali Konicznej, gdzie przygotowywałeś imprezę plenerową, powiedziano ci, że każdy by chciał posiedzieć w górach, a w biurze pustego.

— Jestem instruktorem teatralnym Wojewódzkiego Ośrodka Kultury. Nieobecność przy biurku bywa tu nazywana nieobecnością w pracy. W tej chwili idę do biblioteki poszukać tekstów dla teatrzyków poezji. Nie wykluczone, że po powrocie usłyszę: — Łazisz po jakichś bibliotekach, zamiast siedzieć na miejscu.

— Czyli: zrobienie widowiska, doskonalenie zawodowe na warszawskiej scenie, pisanie scenariuszy dla „Lacha”, zbieranie tekstów — to Twoja prywatna sprawa?

— Tak to wygląda. Mówi się, że robisz karierę, zamiast siedzieć za biurkiem, które jest najważniejszym miejscem dla pracy.

— Zobaczmy, co odpowie dyrektor Michał Podgórnny...

— Ależ ta rozmowa nie nadaje się do druku! Chyba, że chcesz mi zaszkodzić...

◆ W IMIE ZDROWEGO ROZSADKU. Autobus typu „Lux” z Krynicy do Warszawy przejeżdża przez Nowy Sącz. Jednakże w wojewódzkim mieście nie można zarezerwować miejsca, nawet jeśli autobus wiezie powietrze zamiast pasażerów.

Dyrektor sądeckiego PKS zgadza się, że jest to marnotrawstwo, by jeździć z Sączu do Krynicy najpierw po bilet, a następnie po to, by zająć miejsce we wspomnianym autobusie. Owszem, interweniował w Warszawie, ale dowiedział się, że obowiązuje regulamin Ministerstwa, który stanowi, iż pasażer może zająć wykupione miejsce tylko wtedy, jeśli podróżuje od przystanku początkowego.

W Ministerstwie Komunikacji bardzo mili ludzie prywatnie zgadzają się ze mną, ale rozmawiać z dziennikarzem może tylko rzecznik prasowy Ministerstwa. Rzecznika akurat nie ma, więc radzą telefon do Zjednoczenia PKS. Dzwonię. Słucham i nie rozumiem. Zamiast narażać się na sprośowania, że przeinaczyłem, że nieodpowiedzialnie — pytam pisemnie i o pisemną odpowiedź proszę: czy to prawda, że nawet ociepleni, którzy opłacili bilet z Krynicy, a usiąść chcieli nieco dalej, musieli zabiegać w Warszawie o łaskawą zgodę? Czy jest prawda, że to związki zawodowe nie zgadzają się, by kierowca „Lusa” obciążony różnymi obowiązkami brał na siebie i ten polegający na wypuszczeniu pasażerów z ważnym biletem także i na dalszych przystankach? Jaką konstruktywną propozycję zlikwidowania nonsensu, który służy wygodzie przewoźnika a dla pasażerów stanowi niedogodność, ma dyrektor Zjednoczenia PKS? Od kiedy można będzie kupić w kasie w Nowym Sączu bilet do Warszawy i usiąść do autobusu w stolicy regionu turystycznego bez odbywania podróży w przeciwnym kierunku czyli do Krynicy?

◆ GROCH O ŚCIANIE? Redakcja „Dunajca” uprzejmie przypomina o obowiązku odpowiadania na krytykę. Do tej pory nikt nie poczuł

się adresem naszych wystąpień w następujących kwestiach:

— próby wypaczania sensu prac społecznych w szkołach;

— wozenie podobnych dźmów z jednego końca Polski na drugi;

— celowość uruchomienia sklepu zaopatrującego twórców ludowych w niezbędne dla ich pracy materiały;

— konieczność usprawnień w oczyszczaniu ścieków gorlickiej Rafinerii;

— uproszczenie przepisów krępowanych organizatorów Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziemi Górskich w Zakopanem;

— potrzeba koordynacji sobotnio-niedzielnego wypożyczalni ludzi pracy z Nowego Sączu;

— dostosowanie godzin otwarcia placówek usługowych do czasu wolnego pracujących kobiet;

— opracowanie konstruktywnych propozycji dotyczących potrzeb lokalowych teatru „Rabcio”, muzeum zabawki ludowej w Rabce i galerii malarstwa Nikifora w Krynicy;

— uporządkowanie cmentarza w Zakopanem;

— zlokalizowanie prywatnego magla i pralni w budynku nowotarskiej spółdzielni mieszkaniowej,

— wydanie opracowanej pięć lat temu monografii Muszyny i Tylicza;

— wypłacenie nagrody laureacie konkursu „Piękno Ziemi Muszyńskiej”.

Ostatnio postulowaliśmy ponadto weryfikację problemów dotyczących działalności kulturalnej, usług fryzjerskich oraz wywozu śmieci w Nowym Sączu.

Nie od razu Kraków zbudowano; nie wszystko da się od ręki załatwić. Ale dobry obyczaj — i obowiązujące przepisy! — nakazują w każdym przypadku udzielić odpowiedzi prasie, która jest elementem składowym naszego systemu demokracji socjalistycznej. Prosimy zatem Obywatela Wojewodę o pomoc w pobudzeniu właściwych ludzi do reakcji, które są niezbędne dla normalnego funkcjonowania życia publicznego.

Niemal równo 100 lat temu, w 1879 roku, Thomas Alva Edison skonstruował żarówkę elektryczną, zapowiadając rewolucję systemu oświetlenia ludzkich domostw i osiedli. Dwadzieścia sześć lat wcześniej przewrotem w dziedzinie iluminacji stała się lampa naftowa Ignacego Łukasiewicza. U schyłku lat siedemdziesiątych XX stulecia nie raz i nie dwa wynalazek Edisona stawał się zgola bezużyteczny. Tym sposobem do łask powrócił aparat, zmontowany wspólnym wysiłkiem farmaceuty Łukasiewicza i mistrza blacharskiego Bratkowskiego ze Lwowa, sprzęt tak zapomniany, że dziś od biedy można by mu przypisać etykietkę rynkowej nowości.

Z przekazów o życiu Ignacego Łukasiewicza i jego dziele wiadomo, iż był najmłodszym z pięciorga dzieci dzierżawcy podtarnarowskiego folwarku Zadzuszniki. Urodzony 23 marca 1822 roku przerwał swą edukację po czwartej klasie gimnazjum, do którego uczęszczał w Rzeszowie. Ojca przycisnęła bieda — Ignacy poszedł więc na naukę do farmaceuty w Łańcutcie, gdzie dość szybko — dzięki swym zdolnościom — został aptekarskim pomocnikiem. Potem była apteka Hübla w Rzeszowie, gdzie w czasie wolnym od kręcenia pigulek i mieszania mikstur oddawał się konspiracyjnej działalności patriotycznej w kręgach miejscowej młodzieży. Był jednym ze współpracowników Edwarda Dembowskiego, brał udział w przygotowaniu spisku, mającego na celu — na wieść o wybuchu powstania — rozbrojenie miejscowego garnizonu austriackiego. Plan zamachu przygotowany zgola po amatorsku, został rozszyfrowany przez policję, zaś sam Łukasiewicz w lutym 1846 roku trafił do aresztu śledczego, gdzie przesiedział dwa lata. Wyszedł z opresji częściowo chronną ręką: zwolniony z braku dowodów, niemniej oddany pod stały nadzór policyjny i wysłany na przymusowy pobyt we Lwowie.

Ten romantyczny, młodzieńczy zryw zaważy na późniejszych losach wynalazcy. Jeszcze dwa razy będzie mu dane zapoznać się z austriackim więzieniem, a oba epizody mają związek z pracą, której się bez reszty poświęcił. Po raz pierwszy — gdy w jego lwowskim mieszkaniu eksplodował prototyp lampy naftowej, a uczulona na punkcie Łukasiewicza policja oskarżyła go o produkcję bomb dla anarchistycznych celów. Po raz drugi — podczas studiów w Krakowie, gdy pobierając próbki wody dla swoich doświadczeń, został pojmany przez żandarmów pod zarzutem zatrąwania studzien w celu zgładzenia miejscowego c. k. garnizonu. Oba oskarżenia okazały się wystarczająco bzdurne, by sprawy zakończyły się szybkim uwolnieniem eksperymentatora i kompromitacją policji.

Wróćmy jednak do czasów lwowskiej apteki Franciszka Mikolaszcha, gdzie zrodził się wynalazek. O odkryciu — jak głosi anegdota — zdecydował przypadek: Żyd-arendarz spod Borysławia przywiózł do apteki butelkę żółtej cieczy, będącej produktem podgrzewania oleju skalnego, występującego tu w postaci mazistych kałuż i bajorek. Jehowita ów zastanawiał się nad możliwością pędzenia z owego płynu gorzałki; odjechał rozczarowany nie zdając sobie zapewne sprawy, iż przyczynił się walnie do odkrycia ogromnej wagi. O właścicielach żółtego płynu Łukasiewicz miał się okazać przekonana w własnej skórze, gdy przez pomyłkę wlał go do rozpalonego olejnego kaganka...

Od tego momentu młodego farmaceuta pochłaniają bez reszty badania nad właściwościami oleju skalnego, jego destylacją i zastosowaniem dla celów oświetlenia. Niedośkonale jeszcze paliwo, niedokładnie oczyszczone z lekkich frakcji, powoduje eksplozję prototypu lampy i wspomniane już policyjne represje. Zwolniony z więzienia Łukasiewicz wyjeżdża do Krakowa, rozpoczyna studia farmaceutyczne. Ma okazję poznać równocześnie wybitnego polskiego geologa, profesora Wszechnicy Jagiellońskiej Ludwika Zeuschnera. Jego wykłady, a także dostępne w uczelni prace chemika, krakowianina Filipa Waltera, przebywającego na emigracji w Paryżu, a zajmującego się właśnie badaniami nad olejem skalnym i jego destylacją — wzbogacają ogromnie wiedzę młodego wynalazcy.

Z Krakowa — via Wiedeń, gdzie zdobywa dyplom magistra farmacji — powraca Łukasiewicz do Lwowa, by wznowić pracę nad swoim wynalaz-

kiem, teraz już w oparciu o naukowe metody. I wreszcie przychodzi dzień sukcesu: 31 lipca 1853 roku, za ciężko wywalczonym u władz zezwoleniem, przeprowadza pierwszą publiczną próbę swej lampy — w miejskim szpitalu. Wiadomość o wynalazku, przekazana na łamach „Gazety Lwowskiej”, idzie w świat.

Ta pierwsza lampa, skonstruowana według pomysłu Łukasiewicza przez mistrza blacharskiego Bratkowskiego, różniła się znacznie od tych, za którymi dzisiaj z samozaparciem ugania się po sklepach. Był to miedziany cylinder, z dużym otworem przykrytym szybką z miki, przez który wydobywało się światło. Łukasiewicz był świadom niedoskonałości aparatu; wiedział również, iż chałupnicza produkcja nigdy nie pozwoli na masowe rozpowszechnienie wynalazku. Dlatego odstąpił bezpłatnie prawo produkcji lamp wiedeńskiej fabryce Rudolfa Dietmara.

### Krzysztof Dobosz

# Pasja jak płomień



Fot. MIECZYSLAW STASZEWSKI

Tu lampa otrzymała swój ostateczny kształt — i tu zaczęła się jej światowa kariera.

Łukasiewicz ma teraz inne, trudne zadanie: uruchomić na wielką skalę produkcję paliwa i udoskonalić je. Pierwsza destylatornia działa już we Lwowie, a prowadzą ją przyjaciele wynalazcy — farmaceuta Jan Zeh. Drugą otwiera Łukasiewicz w Gorlicach, w wydzierżawionej na ten cel aptece. Tu produkuje naftę, o którą coraz natręczywiej dopominają się wiedeńscy kupcy — i to naftę coraz czystsza, coraz bezpieczniejsza w użyciu. Niebawem gorlicka apteka staje się za mała. Trzeba myśleć o produkcji na przemysłową skalę. W Ulaszowicach koło Jasła powstaje pierwsza rafineria, Łukasiewicz wchodzi w spółkę z dziećmiaciami okolicznych majątków, na terenach których występuje olej skalny. W 1858 roku lampy naftowe oświetlają już nie tylko

domy, mieszkania, lecz także ulice, place, dworce i wagony północno-austriackiej kolei. Wznaga się popyt na inne produkty naftowe — kolej domaga się smarów uzyskanych w procesie destylacji ropy, a świetnie zdających egzamin w lokomotywach i wagonach.

Nie wiadomo, czy profesor chemii w Yale — Benjamin Silliman skonstruował swoją lampę naftową inspirowany rewelacjami, docierającymi ze starego kontynentu, czy też szedł niezależnie tą samą drogą poszukiwań — dość stwierdzić, że pierwsza próba, udana, odbyła się w Stanach Zjednoczonych w 1855 roku, a więc w dwa lata po publicznym pokazie we Lwowie. Faktem jest również, że kiedy w zafonanej Galicji lampy Łukasiewicza świeciły coraz liczniej w domach, lampa Sillimana przechodziła jeszcze próby w uniwersyteckim laboratorium. Wynalazek, rozreklamowany w pierwszej chwili przez prasę, dość szybko zo-

Łukasiewicz był człowiekiem wspólnie pasującym do ideału, tak modnego w ostatnich dziesiętkach lat ubiegłego stulecia. Z niespotykanym rozmachem i energią dążył szyby na Podkarpaciu, prowadząc równocześnie rozległe badania geologiczne. Ulepsza produkty własnych rafinerii, nie zalamując go najcięższe kłeski. W pożarze destylarni we Lwowie ginie żona Jana Zeha; eksplodują ściera z powierzchni ziemi rafinerię w Ulaszowicach — i oto natychmiast rzuca się w następną budowę — w Bóbrce. Dąży najgłębszą z dotychczasowych kopalnię, a kiedy do Bóbrki jedzie za Stanów Amerykanin polskiego pochodzenia Adolf Jabłoński, przywołując z sobą szkiecy stosowanych tam urządzeń wiertniczych — wnet podkarpaccy kowale wykonują wierną kopię świda. Tak w 1862 roku staje w Bóbrce pierwszy w Europie szyb wiertniczy. Polak, pionier przemysłu naftowego, mógł zarobić miliony. Ale

stał zapomniany. Na światło dzienne ponownie wyszedł za sprawą przypadku.

W 1859 roku Edwin Lawrence Drake, specjalista od wierzeń studni arcydziełskich, bezskutecznie szukał wody w posiadłości pewnego pensylwańskiego farmera, posiadającego liczne stado bydła. Wreszcie dowiercił się czegoś, co właściciela przypawiło o czarną rozpacz — z otworu trysnęła brunatna fontanna. Ale sam Drake skojarzył chyba sobie to „coś” z zapomnianym wynalazkiem chemika z Yale. Za grosze wykupił działkę, która dla celów hodowlanych nie przedstawiała żadnej wartości. Znalazł się także inny człowiek, dość sprytny, by wyczuł tutaj interes, choć zapewne nie domyślał się jeszcze jaki — i kupił od farmera sąsiedni kawałek nieużytku. Był to muzyk-obieżyświat, członek wędrowniej orkiestry, grywający po saloon-barach. Nazywał się John Rockefeller.

prześiąknięty ideałami pracy organicznej widział w nafcie nie źródło krociowych zysków, a narzędzie poprawy warunków życia swojego narodu. Chęć za wszelką cenę przyczynić się do upowszechnienia własnych odkryć — podobnie jak niedgdy R. Dietmarowi lampy, tak teraz bezpłatnie udostępnił niektóre wyniki swych badań amerykańskiej Standard Oil Company.

Był z krwi i kości społecznikiem. To on założył Towarzystwo Naftowe dla Opieki i Rozwoju Górnictwa, którego siedziba mieściła się w Gorlicach, on zorganizował górniczą kasę bratniej pomocy.

Ignacy Łukasiewicz zmarł 7 stycznia 1882 roku w wyniku obustronnego zapalenia płuc. Nabawił się go kilka dni wcześniej, gdy w mroźny, sylwestrowy dzień pośpołu ze swymi robotnikami usuał awarię destylarni w Chorkówce...

O pinia dyrekcji Zespołu Szkół Samochodowych w Nowym Sączu jest krótka, jednak jednoznaczna w swojej treści. Czytamy w niej m. in.: Zbigniew N. uczęszczał ostatnio do klasy trzeciej Technikum Samochodowego, przy czym od połowy października 1979 roku zaprzestał uczęszczać na zajęcia lekcyjne bez usprawiedliwienia. Mimo wielokrotnych prób wyjaśnienia sprawy nie udało się doprowadzić do spotkania z rodzicami i w tej sytuacji została podjęta decyzja o skreśleniu go z listy uczniów z dniem 8 grudnia 1979 roku z powiadomieniem rodziców o tej zasłóści.

W okresie swojego pobytu w szkole Zbigniew N. osiągał słabe wyniki nauuczania (poutarzał drugą klasę), opuśczał znaczną ilość godzin bez usprawiedliwienia oraz sprawiał kłopoty wychowawcze. Posiadał dobre warunki materialne i często dysponował znacznymi sumami pieniędzy.

Fakt, miał ten chłopak ponadprzeciętne warunki finansowe, miał też gest, którym imponował kumpłom. Tym, otrzymującym symboliczne kieszonkowe, nie mogących pozwolić sobie na szastanie pieniędzmi. Wydawanie forsy przychodziło Zbyszkowi tym łatwiej, że zdobywał ją bez żadnego trudu. Zawsze mógł liczyć na hojność rodziców, uważających, iż nastolatek powinien w miarę beztrudnie spędzać swoją młodość. W tej sytuacji chłopiec jak mógł unikał wszelkich obowiązków, a konieczność uczęszczenia do szkoły traktował jak przysłowiowy dopust boży. W końcu doszedł do wniosku, że przysięgnął go proza życia, a potem postanowił szukać szczęścia i poza rodzinnym domem i poza rodzinnym krajem.

Wymyślił sobie wyjazd do Republiki Federalnej Niemiec. Tamten nieznaną kraj roił mu się jako miejsce wszelkiej szczęśliwości, bezproblemowego życia i innych pociągających uciech. Zbyszek egoistą nie był uczestnictwo i wożać zaproponował swemu serdecznemu kumpłowi Stanisławowi B. Ten ostatni propozycją ucieczył się bardzo, a jego radość była tym większa, iż znał Zbyszkę z przedsiębiorczości, z umiejętności pokonywania wszelkich przeszkód.

Pierwszym problemem, przed rozwiązaniem którego stanął Zbyszek, był brak funduszy w podpowiednio dużej wysokości. Młodzian w zagranicę podróż wybierał się wygodnie, w własnym samochodem, którego jeszcze nie miał, a który zamierzał szybko kupić. Brakiem gotówki były ucech technikum nie przejmował się zbytnio, jako iż wiedział, że w rodzinnym domu przechowuje się ileś tam książeczek oszczędnościowych PKO z mniejszym i większym wkładem. Szczególnie atrakcyjną książeczkę posiadała siostra Zbyszka — Maria N. Atrakcyjną dlatego, że opiewającą na 238.166 zł.

Braciszek nie miał żadnego prawa do rozporządzenia wkładem siostry. Nie posiadał odpowiedniego pełnomocnictwa, potwierdzonego z zachowaniem wszystkich urzędowych wymogów. Powiedzieliśmy już jednak wcześniej, że Zbigniew N. należał do młodzieńców przedsiębiorczych, sprytnych, to też w sposób sprytny postanowił wejść w posiadanie cudzych pieniędzy. Drogą pospolitego fałszerstwa i pospolitego oszustwa.

Cała przestępcza kombinacja wymagała współników. Zbyszek ich znalazł bez żadnego trudu. Kiedy kumpelskie pertraktacje dobiegły szczęśliwie do końca, młodzian mógł przystąpić do realizacji pierwszego etapu wypłudzenia pieniędzy.

Najpierw umiejętnie podrobił pełnomocnictwo siostry, a potem „pożyczył” sobie dowód osobisty Marii N. W te nieodzwonne dokumenty wypożyczył Marię B. — siostrę Staszka, z którym planował wyjazd do RFN. Dziewięćda ochoczo pobiegła na nowosądecką pocztę i stanęła przed jednym z okienek. Urzędniczki przedstawiała „swoją” dowód i „swoje” pełnomocnictwo, mocą którego Zbigniew N. nabywał prawo do rozporządzenia oszczędnościowym wkładem bez żadnych ograniczeń.

Urządник pobieżnie sprawdził dokumenty (nie zauważył mistyfikacji z

dowodem osobistym) i uznał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Wyciągnął stosowny rejestr, wpisał do niego to, co wpisać powinien, przyblił także odpowiednie pieczęcie. W tym momencie Zbigniew N. stał się faktycznym współdyponentem rodzinnej marnoty.

Ciągnęły go te pieniądze. Wkrótce po zakończeniu operacji z wystawieniem pełnomocnictwa, młodzian pobiegł ze skradzioną siostrze książeczką do PKO i poprosił o wypłacenie 236 tys. zł.

młodzian przywykł był do ponadprzeciętnych pieniędzy, takiej kupy forsy jeszcze w swoim życiu nie widział. Był więc bardzo szczęśliwy i pełen wdzięczności dla współników. Marii B. oddał tysiąc złotych za pomoc, obiecał także założyć dolarowe konto jej bratu.

Stanisław B. z czasem przestał emocjonować się zagranicznym wyjazdem.

## Janusz Hańderek

# OBIECUJĄCY BRACISZEK...



„Szpilki”

Odbyło się normalne w takiej sytuacji sprawdzenie konta Marii N., sprawdzono także wiarygodność pełnomocnictwa Zbyszka. Ta urzędnicza dokładność była bardzo spóźniona. W rejestrach wszystko się zgadzało i nie było żadnych podstaw do kwestionowania uprawnień pełnomocnika. Gdyby bardziej rzetelnie przyglądnięto się dowodowi Marii N., przedstawionemu wcześniej przez Marię B. oszustwo musiało być wykryte już na samym początku. Jeden urzędniczy błąd pociągnął za sobą następne. W ich konsekwencji wypłacono Zbyszkowi 236 tys. zł w banknotach tysięcy złotych. Mimo, że nasz obiecujący

Zbyszek sam jechał do RFN nie chciał, więc propozycję wspólnej eskapady przedstawił Dariuszowi M. Darek ucieczył się bardzo dobrymi intencjami kumpła, a jego radość była tym większa, gdy dowiedział się, że Zbyszek założył mu dewizowe konto. Założył po wcześniejszym zakupie 400 dolarów USA — rzecz jasna na tzw. „czarnym rynku” — za które zapłacił równo 50 tys. zł. Młodzieńcy uważali, że wystarczy posiadać trochę waluty w banku, aby móc nie martwić się o wystawienie i wydanie paszportu...

Teraz przyszła kolej na zakup samochodu. 3 stycznia 1980 roku Zbyszek zasiał wreszcie za kierownicą upra-

gnionego wozu. Kupił go za 130 tys. zł. Prawdę jednak powiedziałoby to do transakcji doszło wcześniej. Nowy właściciel fiata z właścicielem poprzednim doszli jednak do wspólnego wniosku, iż formalnie rzecz cała zostanie potwierdzona w terminie późniejszym. Chodziło po prostu o to, by Zbigniew N. nie musiał płacić ubezpieczenia PZU za rok 1979. Zanizono także autentyczną sumę kupna wozu. Ze 130 tysięcy do tysięcy 90. Tym razem kamufaż miał na celu oszukanie organów finansowych, pobierających podatek od umów kupna — sprzedaży samochodów.

Gdy tak wszystko wspaniale i zgodnie z planem Zbyszka się rozwijało, niespodziewanie pojawiły się komplikacje. W wyniku ich wdrożono śledztwo, a sprawcę fałszerstwa i oszustwa posadzono na ławie oskarżonych.

Maria N., przeglądając swoje dokumenty ze zdziwieniem stwierdziła brak książeczki oszczędnościowej PKO. Bezskuteczne okazało się skrupulatne przeszukiwanie mieszkania, przeglądanie szuflad i zakamarków. Pani N. w tej sytuacji doszła do jedynie słusznego wniosku: jej książeczka została przez nieznanego sprawcę skradziona. Właścicielka 238.166 zł pobiegła więc do nowosądeckiego oddziału PKO, by tutaj zgłosić brak książeczki.

Zawiadomienie przyjęto, nie ograniczono się jednak tylko do tej prostej czynności. Oczywiście sprawdzono konto Marii N. Okazało się, że pani N. posiada tylko... 2.166 zł.

Maria N. tą wiadomością była zaskoczona raczej niemile. Uparcie twierdziła, że pieniądze ze swojej książeczki nie podejmowała, nikomu także nie udzielała pełnomocnictwa do rozporządzenia wkładem. PKO prowadzi jednak dokładną ewidencję wszystkich operacji finansowych i dlatego bardzo szybko wykryto, kto rzeczywiście pieniądze podjął i jakim to zrobił sposobem. O przestępstwie zawiadomiono milicję, a ta zatrzymała obiecującego młodzieńca. W tym miejscu warto dodać, że Zbigniew N. zagarnął mienie społeczne, jako że pieniądze ulokowane w PKO tracą swój prywatny charakter. Nie trzeba być także zbytnio obeznanym z obowiązującym w naszym kraju prawem by wiedzieć, że właśnie społeczne mienie podlega szczególnej ochronie i przestępstwa przeciwko niemu traktuje się jako szczególnie groźne. Ta ochrona polega m. in. na surowych sankcjach karnych wymierzanych sprawcom zaboru społecznej własności.

Sprawa Zbigniewa N. znajduje się już na wokandzie Sądu Wojewódzkiego w Nowym Sączu. Nieoddzienne w końcu przypadek „rodzinnej” kradzieży obok elementów procesowych posiada swój niepokojący wydźwięk wychowawczy. Przecież bezwzględność działania zaledwie 18-letniego chłopca posiadała gdzieś swoje źródło. Rodzicielska krótkowzroczność, kupowanie sobie „względów” syna za pieniądze, nierozliczanie młodziana z jego szkolnych obowiązków... Efekty takiego traktowania młokosa nie dały na siebie długo czekać. Najpierw porzucenie szkoły, potem poważne przestępstwo natury finansowej. Sąd jednak ocenić będzie tylko o postępowanie Zbigniewa N. Ocenić w kategoriach prawnych, co jednak wcale nie znaczy, że w tej sprawie odpowiedzialność moralna nie ma żadnego znaczenia...

PS. By pozostać w zgodzie z faktami dodajmy, że Maria N. po stwierdzeniu, iż sprawcą kradzieży książeczki i bezprawnego podjęcia pieniędzy był jej brat, stwierdziła, że nie rościł sobie do PKO żadnych praw z tytułu wypłaty Zbigniewowi N. 238 tys. zł. Innymi słowy mówiąc, po wykryciu przestępstwa forę braciżkowi darowała...

Nowosądecki Magazyn Ilustrowany „DUNAJEC” — Jednostka KW PZPR w Nowym Sączu. Zredagował zespół: Krzysztof Dobos, Krzysztof Dybel, Elżbieta Glinka, Mieczysław Matras, Roman Morawka, Adam Oguzalek, Marian Wasilewicz, Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. Narutowicza 6, II piętro, telefon: 203-34. Drukowano w Prasowych Zakładach Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Krakowie. H-14



# Autosyfon, czyli krecia robota zdrajcy

## Krótką rozprawa o wielkiej dziurze

Kiedy, dzieckiem będąc, napierałem się słodczy, babunia odpowiadała niezmiennie: „Dam ci, Kochany wnusiu, ciastko z dziurką. Dziurkę teraz, a ciastko kiedy indziej”. Taką to właśnie dziurkę, a raczej wielką dziurę z urzędniczego gnieciucha, otrzymali terogocini uczestnicy „Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy”. Mniejsza już o rozdetę, bombastyczną nazwę owego cyklu pseudoimpresji; nazwę sugerującą, że książka i prasa to nie kultura ani oświata. Przejdźmy od razu do istoty sprawy.

Dnikulturyoświatyksiążkiiprasy (to przecież jedno słowo, więc piszę je bez odstępów) wymyślono w pierwszych latach powojennych, kiedy to stara inteligencja była mocno przerezedzona, a nowa dopiero się tworzyła. Były to czasy likwidacji analogizacji, zakładania bibliotek publicznych na wsi, czasy radiofonizacji kraju; książka zaś z trudem torowała sobie drogę do masowego odbiorcy. „Dni” stanowiły wtedy jeszcze jedną, zresztą bardzo udaną formę upowszechnienia kultury, były prawdziwym światłem słowa drukowanego.

Obecnie, po trzydziestu kilku latach, aspiracje kulturalne społeczeństwa wzrosły niepomiernie, popyt na książki i prasę zaspokojony jest w pewnej tylko części, wydawnictwa i drukarnie nastarczyć nie mogą, a ludzie psioczą. Lecz cóż, radosne dnikulturyoświatyksiążkiiprasy organizowane są jak dawniej, choć w oczywisty sposób się przeżyły. Kiermasze książek są dziś tylko smutnym upłynianiem bubi; aby zaś przyciągnąć ludzi na imprezę, dacie im jakąś nadzieję, trzeba „rzucić” (jakże trafne słowo!) na kiermasz także nieco książek poszukiwanych, specjalnie od miesięcy magazynowanych na ten cel. Dziwna to forma popularyzacji czytelnictwa.

A inne imprezy, organizowane jak Polska długa i szeroka z okazji nieocenionych dnikulturyksiążkiiprasy? Nie wiem, jak gdzie indziej, ale przypadkowo wiem, w jaki sposób się to odbyło w naszym województwie. Wiem i powiem, raz kocznie śmierć. Otóż była to działalność niemal w całości pozorna, podłączanie dawno już zaplanowanych, zwyczajnych działań różnych instytucji pod odpowiednie hasła. „Podłączyć imprezę pod hasło” to brzmi dumnie i nowoczesnie, aczkolwiek nieco schizofrenicznie. Na przykład w Krynicy dnia tego i tego odbędzie się koncert. Nazwijmy to więc „Dniem Muzyki” i z głowy. Ktoś tam organizuje wieczór autorski, literal K. „zabezpieczony” (to cytat), a więc mamy już „Dzień Literatury”. Cudownie, dalej! Na skansenie ma być jakaś impreza folklorystyczna, czyli „Dzień Folkloru” załatwiony. Metoda prosta, wykazaliśmy dzięki niej swą aktywność, wszechstronność, szczerze zaangażowanie. Jak w dawnym wierszyku: plan wykonany, wróg pokonany, gmach zbudowany, zebrane plony, plan wykonany i przekroczony.

Napisałem niniejszą rozprawkę przez kalkę, kopie schowałem. Przyda mi się za rok.



„Szpilki”

### Poezja nadesłana

ALEKSANDER ZACZYŃSKI  
Zakopane

#### U Janosa w Dębnie

O, święta Rozalijo,  
zmarłychwstałaś w rzeźbie  
u Janosa w Dębnie.  
On się w tobie zakochał,  
w nocy muzy go budzą,  
spać nie dają,  
O, Rozalio!  
Świątów,  
Wdrzewowziętaś!  
Wiersze o tobie Janos  
pisze:  
Rozalija!  
Rozalija!  
Rozalija!

Cała owa historia, brzemienne w doniosłe skutki, rozpoczęła się wiosną ubiegłego roku. Przechodziłem właśnie korytarzem w Muzeum Tatrzańskim, kiedy zagadnął mnie znajomy, długoletni pracownik i zasłużony działacz, magister H.

— Czy chce pan zostać członkiem Podhalańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk? — zapytał, wychodząc zza szafy.

— Chcę, bardzo chcę — westchnąłem marząco. Komu jak komu, ale magistrowi H. nie umiem niczego odmówić.

— To niech pan da słowo.

W jednej sekundzie odzyskałem przytomność umysłu.

— Słowo nie dam — oświadczyłem z godnością, wiedziony zdrowym instynktem. Ale magister H. był lepszy.

— To przysle pan później — powiedział wspaniałomyślnie. Kiwnąłem głową, a on wręczył mi jakiś papier, po czym przypiął do mej piersi odznakę z herbem Towarzystwa oraz dłoń serdecznie uścisnął.

Tak oto zostałem koncesjonowanym przyjacielem nauki podhalańskim.

Wstyd powiedzieć, ale już następnego dnia zapomniałem o całej sprawie. Mijały długie, złe, nienaukowe miesiące, minął rok, hryni naukowiec jak gdyby o mnie zapomnieli. Nadeszła wiosna — i oto Pan Doręczyciel przyniósł mi upomnienie z PTPN, opiewające na trzysta złotych (och!) oraz informator tej organizacji. Nie dałem słów, więc tym bardziej nie dam trzech, to chyba proste — ale podarunek przyjąłem z wdzięcznym sercem i przeczytałem go od deski do deski. I oto teraz pragnę podzielić się z Czytelnikami co celniejszymi fragmentami owego unikalnego druku. Rzecz jasna, nie mogę się powstrzymać od słychy plągowych, podłych komentarzy.

Już na pierwszej stronie czytamy: „Nasza nazwa ma swoją niepowtarzalną oryginalność, zawartą w słowie „Podhalańskie”. Taką odrębnością nazwy może się poszczycić prócz nas tylko Zamojskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Zamościu”.

Taką „odrębnością nazwy” mogą się poszczycić także Towarzystwa: Opolskie i Poznańskie. Słownik Polskich Towarzystw Naukowych, Ossolineum 1978, wymienia również Bia-

łostockie, Bydgoskie, Gdańskie, Karłonoskie, Kieleckie, Lubelskie, Lubuskie, Łomżyńskie, Łódzkie, Radomskie, Szczecińskie, Płockie oraz Wrocławskie Towarzystwo Naukowe. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że żadne z tych towarzystw nie przyjęło w swej nazwie słowa „Podhalańskie”. My zaś — wprost przeciwnie. Działamy na Podhalu, a więc mamy w nazwie Podhale. To rzadkość w dzisiejszych czasach.

Kartkujemy dalej nieoceniony informator. Uwagę naszą przykuwa notatka pt. „Kolekcjonerstwo etnograficzne Muzeum Tatrzańskie w ostatnich latach”. Dowiadujemy się tam rzeczy zdumiewających: oto okazuje się, że Muzeum zbiera zabytki etnograficzne bezpośrednio w terenie i prace owa uwęża za jedno ze swych naczelnych zadań. Niechże mi będzie wolno pogratulować owej głębokiej naukowej konstatacji.

Po II Walnym Zjeździe Towarzystwa przyszedł czas bujnego rozkwitu. Zwiększono pogłowie wiceprezów oraz członków zarządu, dokonano nowego podziału na sekcje, rozszerzono teren działania. Nawet, jak czytamy, „przewidziano działalność na rzecz ładu i bezpieczeństwa”. Jakiego ładu, może w dokumentacji? Czyjego bezpieczeństwa, może mgr Antoniemu Nowakowi grozi zamach stanu?

W „Wiadomościach bieżących”, ostatniej pozycji kochanego informatora, dowiadujemy się, że „dzieje Muzeum Tatrzańskie, a zwłaszcza jego początki, są wzruszające”, zaś skansen w Zubrzycu „jako muzeum na wolnym powietrzu dla regionu Orawy polskiej stanowi piękny bastion kultury na południowych kresach naszego Państwa”. Tak pięknie wystylizowany tekst powinien stanowić obowiązkową lekturę dla studentów etnografii. Uczęście się, młodzi!

Opamiętany szlachetnym patosem, nie będę już czeptać się błędów ortograficznych, od których aż się rąb w reklamówce Towarzystwa oraz pominię fakt, że informator, aczkolwiek przeznaczony dla potomności, nie ma daty wydania. Kończy już swe wszawie, lajdackie wypociny, życząc podhalańskim jajogłowym dalszych sukcesów na naukowej niwie.

## REKLAMA



### Rozmowa w kwiaciarni

„Kwiaty, jest to niedrogi prezent, ofiarowywany chorym i kobietom” — definiował przed laty mistrz Galczyński. Spiesząc na spotkanie z pewną damą, postanowiłem więc zaopatrzyć się w elegancką wiąchę. Wszedłem do kwaciarni.

— Proszę o trzy tulipany.  
— Nie na sprzedaż.  
— Więc goździki.  
— Także nie na sprzedaż.  
— W takim razie bukieciak słokrotek.

— Prywatne, nie mogę sprzedać

— Cóż to za kwaciarnia, u diabła? — znieczierpliwiłem się.  
— Lokal pełen kwiatów, a nie sprzedajecie niczego.

— Bo to nie kwaciarnia, panie szanowny, tylko sklep mięsny. Kierownicza obchodzi dzisiaj imieniny!